

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 14 maja 1950 r.

Nr 19 (233)

TREŚĆ NUMERU: Tadeusz Chrzanowski — Sztuczne rokoko; Yves Congar O. P. — Bernanos, powieściopisarz łaski i teolog Kościoła; Wiktor Doda — Jeszcze o nowym wydaniu Sienkiewicza; Czescy tłumacze utworów literatury polskiej; Piotr Grzegorzczak — Kulturalne Związki czesko-polskie; Karol Kornik — Prasa w Czechosłowacji; Jan Karnik — Wiersze; Tydzień kulturalny; J. O. P. — Opowieść o Chopinie;

Jean Jacques Brieux

Chiny Mao - Tse - Tunga

BILANS KUOMINTANGU

OD REDAKCJI

W naszej publicystyce ideowej przewija się często określenie „ludy kolorowe”. Podkreślamy przy różnych okazjach — choć dotąd zawsze jeszcze niedostatecznie wszechstronnie — jak wielką wagę posiada dziś walka o narodowe wyzwolenie spod kolonialnego ucisku. Wskazywaliśmy też na kryjące się wśród tych narodów wielkie, potencjalne możliwości kulturalne.

Zainteresowanie nasze sprawą narodów Azji i Afryki niejednemu czytelnikowi polskiemu wydawać się może dziwnym i śmiesznym. Zwykle mówi się w takich wypadkach, że mamy własne troski, a tamte sprawy są przecież od nas dalekie o setki kilometrów i brak nam na nie wpływu.

Nie jesteśmy zwolennikami takiego rozumowania. I to nie tylko dlatego, że współczesna technika skróciła wydatnie dzielące odległości. Jesteśmy przeciwnikami myślowego getta. Zakreślenie widnokągu myślenia tylko do spraw tej części globu, która zamieszkują ludzie naszego koloru skóry nie pozwala widzieć jak bardzo dziś rzeczywistość Szanghaju i Burmy bliska jest problematyce Warszawy, Londynu i Moskwy. Natomiast szerszy horyzont myślowy ukazuje wyraźnie, że zryw społeczny i narodowy wyzwolenia wzdyma dziś powierzchnię całego globu. Pozwala widzieć własne sprawy w szerszych wymiarach, we właściwej perspektywie.

Sprawa ludów kolorowych jest dla nas szczególnie ważna ze stanowiska ideologicznego. Wśród narodów Afryki i Azji przebiega dziś — potężniejący stale prąd wyzwoleniczej walki. Równocześnie społeczeństwa te coraz liczniej wchodzą w próg Powszechnego Kościoła. Ze-stawienie tych dwóch prostych faktów tłumaczy wyraźnie, że nasze zainteresowanie problematyką kolorowego świata nie jest typu akademickiego. Mówi ono jak bardzo ważne są te zagadnienia właśnie dla nas katolików. A trzeba przy tym pamiętać, że Indonezja, Chiny, Malaje, Viet-Nam — to równocześnie niewrażliwe punkty sumienia chrześcijaństwa.

Rzecz jest jasna. Trzeba wyraźnie stanąć po stronie wyzwoleniczej walki narodów uciskanych w koloniach i półkoloniach. My katolicy musimy w pierwszym rzędzie wytrwale i bezlitośnie demaskować fałsz i obłudę tych, którzy uciskają brutalnie narody Azji i Afryki strojąc się w piórka krzewicieli rzekomo chrześcijańskiej cywilizacji. Musimy wykazać jak wielką szkodę przynosi to misyjnej działalności Kościoła.

Wielką rolę ma tu do spełnienia informacja. Zapoznanie się z sytuacją Azji i Afryki pozwoli nam lepiej zrozumieć walkę uciskanych narodów, pozwoli przez własną postawę podać rękę walczącym braciom.

Nie jest rzeczą przypadku, że szereg artykułów, w których informować będziemy o problematyce narodów kolorowych zaczynamy rozprawą J. J. Brieux o Chinach, która drukowana była na łamach „Esprit”.

Chiny — ten kraj starej kultury i wieloletniej wojny domowej stał się dziś krajem zwycięskiego budownictwa nowego życia, nowego ustroju, ludowego. Chiny weszły w orbitę krajów rewolucji socjalistycznej, są obok Związku Radzieckiego drugim, najpotężniejszym państwem rewolucji. Wnosząc w świat socjalistyczny swój własny typ kulturowy wyznaczyły sobie Chiny wyraźny kierunek budownictwa ustrojowego.

Z rozprawy J. J. Brieux drukujemy skrócone fragmenty obejmujące najistotniejsze zagadnienia. Pierwsza jej część poświęcona jest krytyce Kuomintangu. Ujawnia ona mechanizm funkcjonowania państwa Czang-Kai-Szeka, wykazuje wyraźnie, jak postępowość która zatrzymała się w miejscu i nie idzie na przód, jak oderwanie się od potrzeb mas ludowych, jak wreszcie sztuczna, papierowa demokracja nie mająca pokrycia w realnych kształtach urzędów społecznych — prowadzi do związania się z antyludowymi

ośrodkami, do korupcji i wewnętrzne-rozkładu. Wykazuje ścisły związek między walką o narodowe wyzwolenie a społeczną przebudową życia. Pozwalając zrozumieć przyczyny z których wyrosła walka o Chiny Ludowe może nam rozprawa J. J. Brieux wyjaśnić wiele problemów uciskanych narodów Azji i Afryki. Tym samym może nam do-pomóc do wyciągnięcia trafnych wniosków.

Artykuł niniejszy jest początkiem cyklu, który zamierzamy kontynuować w następnych numerach.

Red.

„Rewolucja nie jest skończona, nasi towarzysze muszą walczyć aby ją wypełnić do końca”.

Sun Yat-sen, Testament, 1925.

Wraz z powstaniem Republiki ożyły wielkie nadzieje. W uniesieniu mężczyźni obcinali swoje warkocze, przedmiot kpin Europejczyków, rozentuzjzmowane kobiety uwalniały swoje stopy z bandaży, które robiły z nich kaleki. A potem nadzieje zgasty.

Ta zdradzona Rewolucja była straszliwą tragedią Chin! Tragedią, którą długo ukrywano przed cudzoziemcami. Ustrój Czanga umiał zachować zewnętrzne pozory liberalizmu. Europejczycy widzieli budujące się tory kolejowe, linie telegraficzne, nie widzieli zaś obozów koncentracyjnych. Aby obraz ujawnił się w całej pełni potrzeba było aż wojny.

Po ciężkich walkach osiągnęli Kuomintangowcy władzę, ale wy-



Chińska Armia Ludowa w marszu.

parli się reform, które mieli przeprowadzić. Czang zamiast postępowanie swoje stosować do programu, program przystosował do swego postępowania. Z władzy w służbie rewolucji uczynił on władzę na usługach władzy. Z partii, narzędzia narodu, stworzył partię — narzędzie własne, aparat auto-zachowawczy i auto-zadawalniący. Z chwilą kiedy dołączył się on od jednej frakcji partii, frakcji najbardziej postępowej i jedynie wiernej masom został przez jakąś diabelską mechanikę konieczności skazany na ciągłą walkę ze wzrastającą opozycją, na stały upadek swoich sił, na kierowanie się coraz bardziej na prawo, w stronę autokracji. W sprawowaniu władzy mogły teraz uczestniczyć tylko te frakcje polityczne, które nigdy nie krytykowały przywódcy.

W ten sposób doszedł do tego, że mógł się opierać tylko na najmniej wartościowych elementach w kraju. A kiedy to oparcie wewnętrzne okazało się niewystarczające, trzeba było szukać oparcia zewnętrznego, pomocy zagranicą i posunąć się do zdrady.

Elementy popierające rząd w kraju ulegały ciąglemu karczeniu się. Czang utracił najpierw poparcie biedaków, i proletariuszy miejskich, potem intelektualistów i studentów aresztowanych za patriotyzm (co właśnie zyskało ich dla komunizmu) potem przedstawicieli burżuazji, kiedy to nieudolne rządy pociągające za sobą reglamentację drobiazgową i biurokratyczną poczęły uderzać w przemysłowe i handlowe interesy.

Jeżeli uważnie przyjrzymy się historii Chin w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zobaczymy jak z biegiem lat Czang Kai-szek kopał powiększającą się ciągle przepaść pomiędzy sobą a narodem jak postępowanie jego wymierzone było przeciwko interesom tego narodu. W partii gdzie skorumpowani przywódcy przedkładali swoje własne interesy ponad dobro narodu zobaczymy wielu ludzi, którzy byli prawdziwymi i szczerymi rewolucjonistami. Wstąpienie do partii wymagało od nich często wielkiej odwagi moralnej, prowadzili w jej łonie energiczną walkę dla zapewnienia zwycięstwa swoim ideom. Przyjrzymy się zatem walce przeciwko elementowi najbardziej dynamicznemu: komunistom.

Sun-Yat-sen napisał przed śmiercią w swoim testamencie: „Rewolucja się jeszcze nie skończyła, nasi towarzysze muszą walczyć, aby ją wypełnić do końca”. Jego ostatnim życzeniem było, aby Kuomintang wykonał program, który on mu wyznaczył.

Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka

W dniu 13 maja przyznana zostanie Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka, fundowana corocznie przez tygodnik „Dziś i Jutro” dla twórców katolickich w dziedzinie nauki, literatury i publicystyki.

W tym roku do jury wchodzi następujące osoby:

Antoni Gołubiew — literat.

Dr Artur Hutnikiewicz — historyk literatury.

Paweł Jasienica — publicysta.

Dr Aleksander Rogalski — historyk literatury.

Włodzimierz Wnuk — publicysta.

Dr Andrzej Wojtkowski — prof. K. U. L.

W następnym numerze podamy nazwiska tegorocznych laureatów.

Program ten składał się z trzech punktów, trzech „zasad” używając terminologii Sun:

„Zasady Narodowej”: z jednej strony Chiny muszą wywalczyć swoją niezawisłość poprzez zniesienie „nierównych układów” i skończenie z ustrojem „krypto-kolonialnym”, do którego doprowadziły je mocarstwa zachodnie. Z drugiej strony wszystkie „rasy”, które składają się na ludność Chin (chińska, mongolska, mandżurska, tybetańska, mahometńska) muszą uzyskać pełną autonomię, która pozwoli na harmonijny rozwój ich poszczególnych cywilizacji.

„Zasady Demokracji”: Rząd chiński musi być „rządem ludowym, dla ludu.”

Zbliżenie się Suna do ustroju sowieckiego widoczne jest z listu, który na krótko przed swoją śmiercią, w r. 1925 pisał do Stalina:

„Pan jest przywódcą i awangardą wielkiego Związku Republik wolnych w ich marszu ku przyszłości... Patrząc na Pana, miliony ludzi pozostające w niewoli ucisku imperialistycznego uczują znów iskry nadziei i odwagę, która będzie im dodawała siły w ich walce o wolność... Po mnie zostanie Kuomintang. Wierzę, że będzie on współpracował z Panem możliwie blisko... ufam głęboko, że Rząd Pana będzie szczęśliwy, iż będzie mógł udzielać mu szczodrej pomocy... Chciałem wyrazić Panu moją gorącą wiarę w dzień jutrzejszy: będzie to chwila kiedy Związek Sowietów przyjmie silne i niezależne Chiny jako dobrego swego przyjaciela i sprzymierzeńca. Oba te kraje, wierzę w to, wyjdą zwycięsko z ich wielkiej walki o wyzwolenie uciskanych ludów świata.”

„Zasady Dobrych Warunków Materialnych”: Rząd musi zapewnić narodowi dobre warunki materialne. Skonfiskować ziemię feudalnym właścicielom, i rozdać ją zgodnie z zasadą: „Ziemia dla te-

go kto ją uprawia”, a następnie obarczyć państwo funkcją kierowania wielkimi przedsiębiorstwami przemysłowymi, handlowymi i bankowymi.

Tymczasem w okresie kilku wojennych lat Czang zawarł ze Stanami Zjednoczonymi układ, który pozwalał tym ostatnim w zamian za pożyczkę pieniężną i darmową wysyłkę materiałów wojennych stacjonować wojska na terytorium Chin i korzystać z niskich Szanghaju, Nankin, Peipi, Kunming, Czungking, Czungtu), pewnej bazy morskiej (Tsing-tao) i Formozy.

Ważnym punktem programu Suna była demokracja. Prowizoryczna Konstytucja z 1 czerwca 1931 a następnie „definitywna” Konstytucja z 1-go marca 1936 stworzyły z Chin demokrację teoretyczną. Teoretyczną, gdyż konstytucje te nigdy nie weszły w życie.

Powyzsze konstytucje przewidywały podstawowe prawa wolnościowe: wolność i nietykalność mieszkań, wolność zmiany miejsca zamieszkania, wolność słowa, wolność pisma i publikowania, tajemnicę korespondencji, wolność religijną, wolność zbierania się, tworzenia zreszeta, wolność własności. Tekst który wymienia te poszczególne prawa podkreśla za każdym razem „Wolność ta nie będzie hamowana niczym poza prawem”. Konstytucja otwierała drzwi dla tyranii.

Władza należy do narodu: każdy obywatel ma prawo głosowania w wieku lat 20 i może zostać w stosunku 1 na trzysta tysięcy mieszkańców delegatem do Zgromadzenia Narodowego, które jest wyrazem potęgi prawnej i najwyższej władzy państwa, ale wybrane na przeciąg lat 10 zbiera się tylko raz na trzy lata na miesięczną sesję. Sesja taka ogranicza się do przyjęcia lub odrzucenia osób, które wykonywać będą właściwą władzę: Prezydenta, Wiceprezydenta republiki, Prezesów Yuan*) praw-

nego i Yuan kontroli. Posiada ona inicjatywę prawną i prawo zwoływania referendum. Może również wprowadzać zmiany w Konstytucji. W międzyczasie właściwa władza spoczywa w rękach jednostek i organizmów, które nie zostały wybrane przez powszechne głosowanie. Wykazuje to pełną iluzoryczność kontroli takiego Zgromadzenia Narodowego. Jest ono wyłącznie instytucją zatwierdzającą. W przerwach pomiędzy sesjami Zgromadzenia naród nie dysponuje żadnymi narzędziami kontroli ludzi rządzących nim gdyż nie posiada swych bezpośrednich przedstawicieli.

W okresach pomiędzy sesjami najwyższą władzę uosabia Rada Państwa, która składa się z 40 mianowanych członków.

Prezydent jest wyniesiony do godności pierwszej osoby w państwie. Jest on głową państwa, dowodzi siłami lądowymi, morskimi i powietrznymi, reprezentuje Chiny w ich stosunkach zewnętrznych, ustala prawa, wypowiada wojny, prowadzi układy pokojowe, zawiera umowy, ma prawo amnestii, mianuje pracowników cywilnych i wojskowych, otwiera, rozwiązuje i prowadzi Zgromadzenie narodowe etc. Ma on przydzielonego sobie wiceprezydenta, który zastępuje go w wypadku jego śmierci lub dymisji. Obaj wybierani są przez Zgromadzenia Narodowe na przeciąg lat 6 i mogą zostać zwolnieni tylko przez nie. Pięć władz wykonawczych przewidzianych przez Sun Yat-sen'a wykonywanych jest przez pięć rad i pięć Yuan'ów.

Yuan wykonawczy jest organem za pomocą którego rząd wykonuje swoją władzę. Obejmuje on główne ministerstwa. Yung prawny którego zadaniem jest tworzenie praw wybierany jest przez Zgromadzenie Narodowe na podstawie imiennych list przedstawianych przez delegatów prowincji Mogolii i Tybetu. Yuan prawny jest prawniczym organizmem systemu. Yuan egzaminacyjny wyszukuje kandydatów na stanowiska publiczne. Yuan kontrolny zajmuje się kontrolą rachunków. Każdy Yuan posiada swego prezesa i wiceprezesa. Wszyscy członkowie Yuan'ów odpowiedzialni są wobec Zgromadzenia Narodowego.

Tak wygląda rząd centralny. Poza tym każda prowincja — każda „hsien” (okręg) ma w zasadzie swój własny rząd.

„Hsien” stanowi jednostkę pośrednią pomiędzy wsią a prowincją. W czasach cesarstwa była to najniższa jednostka której mogła dosięgnąć władza cesarska. Funkcjonariuszy „hsien” i naczelników wsi łączyły bliskie więzy, często urzędy te sprawowali członkowie tych samych arystokratycznych rodzin. Kuomintang odziedziczył tę strukturę i utrzymał ją nadal. Ograniczył się tylko do jednej zmiany, z 1.400 Hsien podniósł ich liczbę do 2.000.

Mówiono o rządzie wiejskim. Oczywiście, że w kraju tak wielkim i tak różnorodnym jak Chiny każda jednostka administrująca powinna mieć na tyle szerokie kompetencje aby mogła uniknąć jednolitej reglamentacji i dostosować swoją działalność do specyficznych warunków lokalnych.

Kuomintang ogłosił, iż zrealizował komunalny „rząd autonomiczny”. W rzeczywistości jest to jeden z wielu mitów — podobnie jak i owa demokracja — który roztoczył on na użytek zagranicy. W wioskach odbywają się wprawdzie zebrania starszyszy, ale oma-

wiają one tylko nic nie znaczące drobniaki, nie poruszając w ogóle spraw politycznych. Jest to jakby samoobrona, chęć załatwienia największej ilości spraw pomiędzy sobą aby nie mieszać się do nich funkcjonariusze wyższego stopnia. Ale w żadnym wypadku nie jest to decentralizacja a jeszcze mniej autonomia wsi. W okresie rządów Kuomintangu rzeczywistym zarządcą wsi była miejscowa arystokracja, działająca wraz z czynnikami administracyjnymi, które przez ścisłą współpracę z arystokracją broniły obopólnych interesów: prawa do własności ziemskiej, dotrzymywania warunków pożyczek, utrzymania „istniejącego” stanu rzeczy. Demokracja wsi była ciągle jeszcze melodią przyszłości.

Jedyną reformą o charakterze demokratycznym było stworzenie „pao” i „chia”. Idea ta wywodzi się z pewnego idealistycznego ugrupowania, które działało w czasie cesarstwa a zgodnie z którym sto rodzin tworzy „chia” a 10 „chia” tworzy jedno „pao”. Sun, który był zwolennikiem decentralizacji uważał, że faworyzowanie lokalnego partokularyzmu umożliwi pewien stopień uświadomienia obywateli i ułatwi przyjęcie przez nich programu Kuomintangu. W 1939 rząd centralny rozpoczął reformę administracji lokalnej: od Hsien w dół. Rząd przewidywał, że każde pao, które jako jednostka administracyjna będzie dość liczne aby mieć swoje własne życie polityczne będzie wybierało swój miejscowy zarząd, który będzie decydował o wszystkich sprawach tej małej grupy, która może być zarówno grupą wiejską jak miejską. Zarząd ten będzie jednocześnie delegował dwóch swoich przedstawicieli do zarządu wsi lub miasta.

Niestety program ten nigdy nie został wprowadzony w życie. Stanowił on jeden z punktów tego wspaniałego prawodawstwa fabrykowanego dla „pozorów”. Wprowadzenie tego programu u niemożliwiło nastawienie Kuomintangu. Dopóki władzę w Hsien dzierżyli wielcy właściciele ziemscy w których interesie leżało aby reformy godzące w ich przywileje nigdy nie były wprowadzone w życie istniało bardzo mało szans aby kiedykolwiek zostały one urzeczywistnione. Poza tym ustrój policyjny nie faworyzował bynajmniej wolności opinowania koniecznej dla wprowadzenia każdej demokracji nawet w jej najskromniejszej wiejskiej formie.

Najgorszą konsekwencją reżimu i działalności Kuomintangu był właśnie ustrój policyjny. W żadnym kraju na świecie chyba nie widziało się takiego terroru, tylu ludzi rozstrzelanych i uwięzionych dla zupełnie błahych powodów. Do walki niesłychanie gwałtownej, która przybrała formę operacji wojskowej — od 1931 do 1934 roku „wyprawy exterminacyjne” przeciwko dziesiątkom tysięcy komunistów Shansi, od 1941 do 1945 wysłanie najlepszych oddziałów i ekip (przez Amerykanów) do okolic zamieszkałych przez komunistów podczas gdy walkę z Japończykami prowadziły oddziały najgorsze — od 1945 do 1947 „wyprawy w celu zduszenia czerwonych”. — Do tej walki, która pożerała ludzi i pieniądze dołączył się w całym kraju biały terror, zapoczątkowany przez wysłanników rządu centralnego a kontynuowany dalej przez ludzi możnych, lokalnych potentatów. Do tego dołączyły się prześladowania na podłożu rozgrywek osobistych. Wraz z postępującym wciąż rozkładem systemu admini-

stracyjnego i wzrostem korupcji coraz łatwiej przychodziło podciąganie aresztowań powodowanych zemstą osobistą lub chęcią zysku pod temin operacji politycznych.

Zobaczmy zaraz w jaki sposób ofiarami tego ustroju padli intelektualiści.

Jeżeli chodzi o trzeci punkt programu Sun — dobre warunki życia dla narodu — to został on przez Kuomintang wypełniony w stopniu bardzo niedoskonałym. Na jego dobro zapisać można jedynie kilka osiągnięć w dziedzinie robót publicznych.

Kilkakrotnie przed wojną rząd zakładał gospodarstwa eksperymentalne prowadzone na zasadzie równego rozdziału ziemi pomiędzy każdego poszczególnego rolnika, lub też na zasadzie eksploatacji kolektywnej. Ale próby te nie przekroczyły nigdy granic jednej wsi. Były one przeprowadzane przez czynniki oficjalne z widoczną złą wolą. Toteż znaczenie ich ograniczyło się do wykazania, że „to się nie może udać”.

Sytuacja materialna chłopów nie uległa żadnej poprawie. Wojna wyniszczyła zwierzęta pociągowe i trzodę chlewną czyli siłę roboczą i źródło żywności i nawozu. Coraz większe zapotrzebowanie na artykuły żywnościowe skłoniły chłopów do porzucenia hodowli przemysłowych takich jak: bawełna, tytoń na korzyść wyłącznie hodowli produktów konsumpcyjnych. Rezultatem takiej zmiany było obniżenie się poziomu życia. Badania przeprowadzone przez EAO szacowały pożywienie konsumowane dziennie przez chłopów chińskiego na około 2.200 kalorii. Była to ilość zupełnie niewystarczająca, która czyniła z chłopów chińskiego człowieka wiecznie niedożywionego o obniżonej przemianie materii, nieodpornego na choroby i złego pracownika. Z powodu niedostatecznej wydajności producenta, na wyżywienie całego narodu musiała pracować bardzo znaczna część ludności. W Chinach trzech ludzi na pięciu poświęca swoją pracę na produkcję środków żywnościowych przy czym ludność żyje wciąż jeszcze na niższym poziomie. Stan taki przynosi tylko minimum wyżywienia nie pozwalając ludności zginąć z głodu.

Brak prawa regulującego dzierżawę ziem i sprawy długów pieniężnych pozwalała właścicielowi ziemskiemu i wierzycielom na zupełny wyzysk chłopów. Około 45 a nawet 60 procent zbiorów musi być przez producenta oddane w formie zapłaty czynszu dzierżawnego lub procentów od pożyczek.

Tymczasem wiadomości o komunistycznej reformie rolnej rozszły się już po całym kraju.

Podobnie działo się w dziedzinie przemysłowej. Ponieważ inicjatywę prywatnej zostawiona była absolutna wolność, powstawały poczęły wielkie przedsiębiorstwa o kapitale zagranicznym: Kailan Mining Administration węgłowe przedsiębiorstwo angielsko-chińskie, warsztaty przedzielni bawełnianej japońskiej w Tientsinie angielskie i francuskie przedsiębiorstwa budowy okrętów w Szanghaju, Imperial Chemical Industry, I. G. Farben, British American Tobacco, Caltex lub Texaco filie Standard Oil, Intavia dostarczająca paliwa dla samolotów etc. etc. Niewielkie kapitały chińskie ulokowały się w przedsiębiorstwach drugorzędnych i drobnych. Produkcja krajowa była ciągle niedostateczna, Chiny zmuszone były zwracać się do zagranicy w zakresie swoich potrzeb na wyroby przemysłowe.

Tadeusz Chrzanowski

Sztuczne rokoko

Widzisz — z tobą tak jakoś dziwnie —
trudno prozą i trudno wierszem —
zaraz myślę, jakam się, gubię...
bo ty śmiejesz się nieomylnie
i twój śmiech jest niby powietrze,
a powietrzem tym żyć najtrudniej.

Widzisz — trochę życia odległy,
trochę śmieszny i trochę próżniak —
za ładnymi śladami biegnę,
choć je w kurzach z trudem rozróżniam.
Urealniam śmieszne mirażę
i powtarzam je jak canzony —
myślę tiule, mgły i nylony,
sarabandy i saksofony,
pastele i maquillage...

— i to jeszcze chciałem powiedzieć,
że mi wracasz lotne rokoko,
choć do tamtej swawolnej wiedzy
niezgrabnemu bardzo wysoko.
Lecz się schodzą damy La Tour'a
i Nattier układa im suknie.
Świat gdzieś w głębi — a one ufne
gdy przefruwa górą purpura.
Fragonard jest również łaskawy
i uchyla słodkie zabawy —
a Watteau jest ponad zielenie
w towarzyskich gajach odświętnych —
gdzie ogrody — tylko odzieniem,
gdzie kobiety — tylko akcentem.

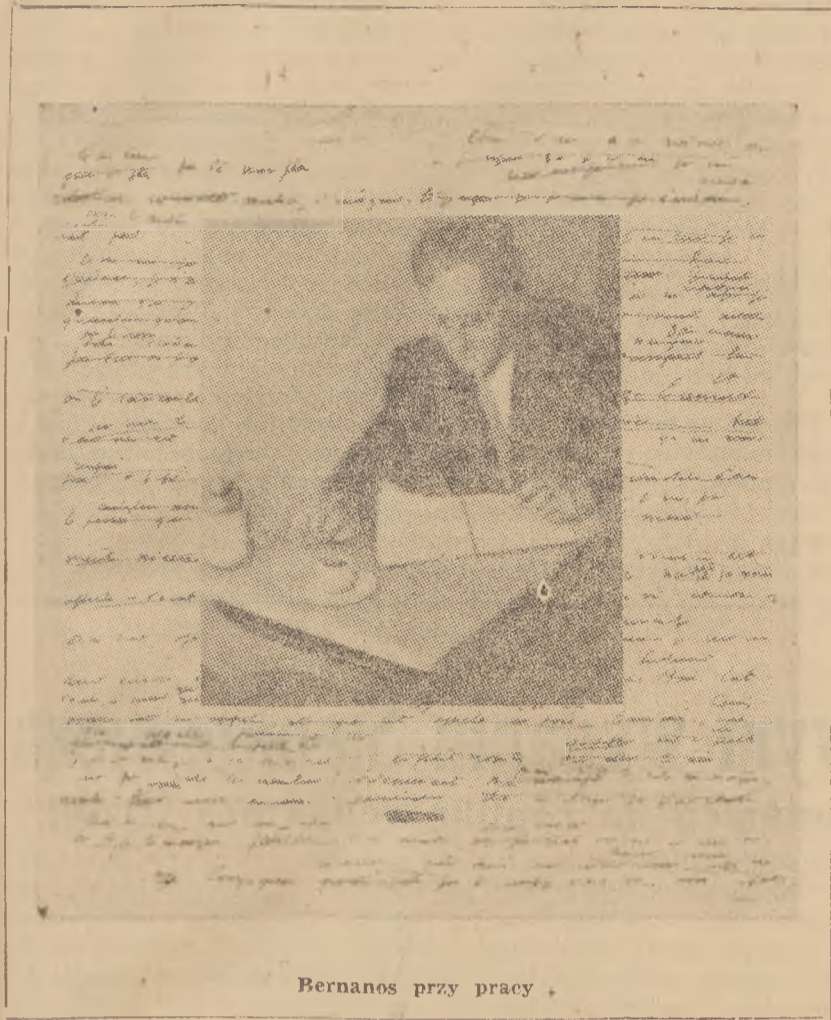
Pęka kula barwna i zimna,
bo ty widzisz tylko oczyma.
A więc śmieję się nim znów nie zaczę —
wykpij słowa me nieopaczne.

*) Można tłumaczyć zależnie od wypadku jako zarząd lub zgromadzenie.

Yves Congar O. P.

Tłum. Jerzy A. Górski

Bernanos, powieściopisarz łaski i teolog Kościoła



Bernanos przy pracy

KTOKOLWIEK przeczytał „Pamiętnik wiejskiego proboszcza“*) nie mógł zapomnieć postaci księdza, proboszcza z Ambricourt, z pogranicza Pikardii, Boulonnais i Flandrii. Brak mu zdrowia, majątku i siły, odżywia się szkaradnie, posiada zaledwie minimum znajomości ludzkich warunków i społecznego przystosowania się. Bernanos wykorzystał szeroko dysponowaną przez siebie swobodę i stworzył postać, która posłużyła za „typ“ i ucieleśniła idealną w swoim rodzaju koncepcję. Nie zamierzał opisywać życia wiejskiego proboszcza i administrowania parafią, jeszcze mniej chciał analizować problem apostołstwa na wsi. Pod tym względem książka byłaby uboga i rozczarowująca, być może nawet nie-realna. W rzeczywistości bowiem nie ma w niej „wiejskiego proboszcza“ i ci, którzy chcieli go znaleźć, opierając się trochę na tytule, doznali zupełnego zawodu. Tło, na którym naprawdę uwypuklona jest jedynie tragedia, dziejąca się w zamku, stanowi dla Bernanosa wyłącznie pretekst, pozwalający mu wypowiedzieć to, co wy-powiedzieć pragnie. Dlatego też wysunięty ostatnio pomysł nakręcenia filmu o wiejskim proboszczu wydaje mi się, jeśli nie nierealny, to przynajmniej niemal heroiczny, począwszy już od zewnętrznych ram i anegdotycznych elementów książki; wiem bowiem, iż wpływa on z zupełnej nieświadomości rzeczywistych wymiarów dzieła.

Wszystko to jest zrozumiałe. „Pamiętnik“ nie stanowi studium o służbie kapłańskiej na wsi; nie jest książką, dodającą otuchy i rozumiem, nie podzie-

Jako powieść o łasce „Pamiętnik“ jest unikatem w naszej literaturze. Bourget i Mauriac opisywali kryzysy moralne i religijne. „La Pharisienne“ otwiera szerokie pole widzenia na znaczenie tajemnicy łaski; nie wnika w nią jednak tak jak „Pamiętnik“ Bernanosa. Malegue potrafił, chyba on jeden tylko, odmalować życie chrześcijańskie, pod nędzną codzienną formą, która wymaga i gromadzi tak wiele miłości; potrafił odmalować także kryzys wiary, rozwiązany w duchu Pascala. Lecz kto dał nam poznać w ten sposób, od zewnątrz być może, od kilku zrozpaczonych, w krzyku, który podnosili z oteblani, wołając miłosierdzia — tę „odkupieńczą akcję Boga w życiu pełnych rozpacz“, to zejście łaski w grzeszniku od chwili, gdy uznał się on za takiego? Rimbaud, Verlaine — to raczej świadkowie z zewnątrz. Ale między katolikami, jeśli wykluczyć się Leona Bloy, który umiał ukazać między grzechem a cnotą coś, co z pewnością nie jest cnotą, lecz stycznością z Bogiem na łonie samego grzechu: istotną obecnością Boga, bowiem wzywa on tam do miłości i pozwala dostąpić swego przebaczenia? Nieporównana wielkość Dostojewskiego polega na tym, że potrafił dać nam uczucie tej głębi i tego porządku rzeczy realnych, które są właściwe łasce.

Bernanos jest u nas pisarzem, który pod tym względem zapewne najbardziej zbliżył się do chrześcijańskiego geniuszu Dostojewskiego. Porównanie to mogłoby prawdopodobnie zostać nawet rozszerzone dość daleko. Czyż „La Joie“ nie jest w stosunku do „Wiejskiego Proboszcza“ tym, czym jest „Idiota“ w stosunku do „Braci Karamazow“? zarysem tego, co wyklarowane i opanowane w pełni, zostanie ukazane w pełnym świetle? Zbieżność ta narzucała mi się często. Jest ona bez wątpienia zaszczytna dla Bernanosa. Podobnie u niego, jak u Dostojewskiego, mniej chodzi o obraz obyczajów, niż o przed stawienie stanu głębi duszy i poprzez tę duszę czyjś ogół całego świata. W „Pamiętniku“ podobnie jak i w „Braciach Karamazow“ nie chodzi o ukazanie nam postaci, odgrywających rolę w jakimś splocie wypadków (powieści w rodzaju utworów Pierre Benoit), ani nawet ludzi, mających określoną namietność, czy określony charakter (Mauriac, Balsac). Nie chodzi także o przedstawienie ludzi, którzy swym postępowaniem i dziejami uwierzytelniają prawdziwość pewnych tez czy doktryn (Bourget i na innej zupełnie płaszczyźnie współcześni pisarze społeczni i rewolucyjni). Mamy tu do czynienia z odsłanianiem utajonego miejsca, w którym zawijają się właściwy dramat Zbawienia; stykamy się ze światem, w którym są obecne i czynne jednocześnie łaska i grzech, świat, w którym dusze przyjmują lub odrzucają swe Zbawienie, przyczyniają się doń lub je tracą. Człowiek brany jest tutaj pod uwagę według pewnej miary, miary człowieka, który spotyka Boga i podejmuje decyzję w sposób defini-

tywny i ostateczny. W tych wewnętrznych dialogach, w tych nagłych postanowieniach, zbijających z tropu „psychologów“, spostrzegamy, że człowiek zmagając się tylko z wydarzeniami, ze swymi namietnościami, z rzeczywistością swego środowiska. Partnerem jego w tym zmaganiu się jest ktoś inny, inna rzeczywistość: powiedzmy jasno — łaska, nie zapominając, że jest ona w pierwszym rzędzie aktem Boga, domagającego się od nas nieprzymuszonej odpowiedzi, na mocy której ustala się nasza najgłębsza postawa względem nas samych, świata i naszego przeznaczenia. „Pamiętnik“, będąc powieścią o łasce czy o zbawieniu, jest w równej mierze powieścią o ubóstwie. Rzecz zrozumiała, nie o ubóstwie w jego znaczeniu zewnętrznym, określającym brak bogactwa, jakkolwiek dwa te znaczenia nie są całkowicie różne. Musimy widzieć w tym ubóstwie, nieco podobnie jak u Leona Bloy, absolutnie fundamentalną postawę życia chrześcijańskiego i apostołskiego. Chodzi tu o całkowitą nieobecność zmysłu posiadania, o bezwzględne wykluczenie własnej osoby w obliczu wyroku i działania Boga, w obliczu łaski. Chodzi o totalne poszanowanie działalności Boga w duszy ludzkiej i czynów tejże duszy, dokonywanych na wezwanie Boga i Jego łaski. Mistyka tego podwójnego ubóstwa jest na przestrzeni całej książki w pewien sposób mistyką łaski Bożej. Jest nią podobnie jak cała rzeczywistość w swej głębi.

„Pamiętnik“, powieść o łasce i o ubóstwie, zawiera w istocie całą teologię Kościoła. Z tego punktu widzenia daje on obraz działalności apostołskiej czy kapłańskiej, lecz i tym razem nie można mówić o opisie. Pamiętnik stara się jedynie uchwycić i przedstawić dramat wewnętrzny. Oto co przez to rozumiemy:

Chodzi o ukazanie lub raczej objawienie Boga, o stawienie człowieka w obecności Boga. O rzucenie w duszę słowa, które byłoby słowem Bożym. Można to uczynić tylko posługując się bardzo czystymi środkami, dzięki którym ukazany Bóg będzie naprawdę Bogiem, Bogiem prawdziwym, który w nas przemawia i działa. Ten, który rozumie, że jedną myślą ogarnięci opróżnimy swe słowa i czyny z własnego „ja“. Za pośrednictwem biednego, słabego księdza, pozbawionego zdolności, zasobów, zdrowia, umiejętności postępowania, zmysłu organizacji i najelementarniejszych zasad kierowania ludźmi, urzeczywistnia się pewnego rodzaju cud. Ksiądz wie, albo też uważa tylko, że popełnia błędy, dostrzega w sobie jedynie zdolność marnowania dzieł Bożych, chciałby jako niezdolny zostać pozbawionym pełnionych przez siebie funkcji... Ale w tym wewnętrznym rozprężeniu, w tej swego rodzaju wewnętrznej nieobecności, proboszcz z Ambricourt jest nieświadomie narzędziem Boga. Wskutek tego, tak jak to może czynić narzędzie w myśl zasad zdrowej filozofii, ksiądz daje więcej, niż ma, daje to nawet, czego sam nie ma; dane mu jest

mówić rzeczy, o których nie myślał, wymawiać zdania, o których nie można powiedzieć, by naprawdę zostały przez niego sformułowane; odgaduje, nie zdając sobie niemal z tego sprawy, udręczenie i potrzeby dusz, ukryty węzeł ich tragedii. I oto węzeł ten zaczyna się rozwiązywać pod dotknięciem jego wychudłych palców.

Poza tym, na tle tego, co stanowi głębię powieści, Bernanos naszkicował zarys teologii Kościoła i służby kapłańskiej, uwy-puklił w sposób być może zbyt łatwy, przeciwstawiając go nie-co zbyt urzędowej, czysto zewnętrznej koncepcji pracy Kościoła. Obok proboszcza z Ambricourt umieścił Bernanos „księdza Dziekana“: „Przed wszystkim nie robić długów... Społeczeństwo nie ma solidniejszej podpory, jak Kościół... Boże chroń nas od reformatorów. Mimo to, księżę Dziekanie, wielu świętych było nimi. — Boże chroń nas także od świętych“. Widzimy również zakrystiana: „Proboszcz jest jak notariusz. Zjawia się wtedy, gdy jest potrzebny. Nie trzeba nikogo niepokoić... Nawracać, nawracać... nie widziałem tego nigdy na oczy. Każdy rodzi się taki czy inny i jako taki czy inny umiera. U nas w rodzinie wszyscy jesteśmy związani z kościołem. Dziadek mój był dzwonnikiem w Lyon... Nie było wypadku, by ktoś z naszych umarł bez Sakramentów. Sama krew już tak chce, nie ma na to rady“. Kościół proboszcza z Ambricourt jest Kościołem, w którym łaska jest stale czynna, w którym można się nawrócić, w którym działa choćby niewidocznie Duch św. Ten Bóg właśnie kieruje wszystkim i za pośrednictwem swego Ducha — nienazwany i nie ukazany z oblicza — jest prawdziwie główną postacią. Zdarza się, że wtargnie w mowę i czyni biednego słabego księdza i wówczas sługa, mimo swe wyjałowienie i wewnętrzną próżnię rzeczywiście czyni dzieło swego Mistrza. „Panu naszemu potrzebne było świadectwo — uznaje — i zostałem wybrany, z pewnością dla braku kogoś lepszego, tak jak przywołuje się przechodnia“. Kościół proboszcza z Ambricourt, który w szerokim stopniu jest Kościołem Bernanosa, jest więc w swym własnym ubóstwie administratorem łaski dla grzeszników, którzy wreszcie się do grzechów przyznają. Jest tam rozległy i głęboki pogląd na wszystko, spojrzenie, które trzeba nazwać chrześcijańskim, paulińskim i ewangelicznym. Nie twierdzą, aby był on zupełny, ani też, by ograniczony do tego, co zostało powiedziane, miał być całkowicie rzeczywisty i życiowy. Nawet Pismo św. nie wyjaśnia nam tego całkowicie. I to nie tylko Nowy Testament, łączony z instytucją Kościoła, lecz także Stary Testament, w którym nakreślone są w sposób zasadniczy cechy dzieła Bożego.

Biblia ukazuje nam naród izraelski, powołany do prowadzenia życia bez pomocy ludzkiej i żadnej zadowalająco rozwiniętej ludzkiej organizacji, całkowicie zależny od pomocy Bożej, pozostający w stanie heroicznej ufności, w rodzaju św. Jana od Krzyża. Takie były w

(Dokończenie na str. następnej)

*) Georges Bernanos „Pamiętnik wiejskiego proboszcza“, tłum. W. Rogowicz, str. 240. Sp. Wyd. Pax, Warszawa 1950.

rzeczywistości, przynajmniej idealnie rzecz biorąc, warunki życia Izraela w epoce Sędziów, w ciągu 150 lat od Jozuego do Dawida. Lecz z Pisma św. dowiadujemy się także, że Izrael nie potrafił utrzymać się w stanie heroicznej ufności i posłuszeństwa Bogu, bez żadnego zwykłego ludzkiego oparcia. „Piękny jest stan Kościoła, kiedy podtrzymuje go tylko Bóg” (Pascal) — tak, lecz ten trudny ideał, którym mogą zachwycać się dusze chciwie miłujące wyłącznie idealną potrzebę, nie jest miarą „pobłażania”, które Bóg powołał względem nas. Bowiem ci, z których pragnie on uczynić swe dzieci, posiadają na równi ciało i krew — mówi św. Paweł w liście do Hebrajczyków. Bóg chciał tak samo w tym uczestniczyć: przychodzi bowiem w pomoc nie aniołom, lecz potomstwu Abrahama (II, 14). Tak że w historii Izraela w tym samym czasie, gdy uznaje on jedynie suwerenność Boga — księga Sędziów wskazuje na konieczność stałej i widocznej władzy, na konieczność oparcia się na organizacji: prowadzi do Dawida i instytucji króla, funkcji dziedzicznej i trwałej, już nie tak czysto charyzmatycznej i proroczej, jak urząd Sędziów.*) Podobnie Kościół nie może być wyłącznie działalnością natchnioną, jest on także organizacją i regułą. Ponadto został on ustanowiony przez Jezusa Chrystusa według wzoru społeczności kierowanej przez ciało apostołskie, wykonujące władzę: sędziowania, kapłaństwa, i rządu dusz. Kościół stanowi naród Boży, stworzony z ludzi i przez służbę innych ludzi, posiadający swą organizację i trwałą strukturę. Nie miejsce tu, oczywiście, na ustalanie i rozwijanie powyższych stwierdzeń. Dla katolików są one zresztą czymś powszednim.

Bernanos pod tym względem nie popełnia żadnego wykroczenia. Pokazał nam on Kościół łaski, dość różny od Kościoła widzianego od strony administracji i urzędów; nie popadł jednak w symplizm łatwych przeciwstawień i systematyczną jednostronność. Nie neguje i nie atakuje strony organizacyjnej, z większą delikatnością niż Cronin w „Kluczach Królestwa” uniknął silnie kontrastowych epizodów. Klasyka scena z biskupem jest jedynie ukazana w odwołaniu jako rzecz możliwa. W postaci proboszcza z Torcy, Bernanos przedstawił piękny przykład syntezy mistyki z ludzkością. Wreszcie i sam proboszcz z Ambricourt nie pogardza wcale elementami porządku i ludzkimi środkami. Organizuje zespół młodych ludzi, nie jest iluzinatem, anarchizmem, marzycielstwem, jeszcze mniej rewolucjonistą. Myśl jego wyrażona jest w sposób wyraźny i zastanawiający się nie można jej zaatakować: „nie potępiam ich ładu, zarzucam mu tylko, że nie ma w nim miłości” (str. 194).

Trzeba dodać jednak, że Bernanos, jakkolwiek oparł się o sukcesy kontrastów, posuniętych aż do sprzeciwu, słabo zaznaczył jedność obu aspektów: administracyjnego, czy nawet instytucyjnego i mistycznego. W „Pamiętniku” nie widzimy nigdy działalności Ducha św. podczas przyjmowania czy udzielania sakramentów, czy podczas lektu-

ry brewiarza, mówiąc krótko nie widzimy jej w połączeniu z normalną codzienną treścią aktów kapłańskich. Wiemy dobrze, że sam Bernanos nigdy nie celował w osiągnięciu pozycji syntezy i równowagi. Wolał zajmować samotne, pełne protestu stanowiska, nonkonformizm pro roków. Ci, którzy go kochali i wdzięczni mu byli za „krzyk”, który dane mu było wydawać, potrafili także przejść do porządku dziennego nad tym, co podobne stanowisko, stając się dosłownie „stanowiskiem” mogło czasem mieć w sobie męczące i drażniące. Tę samą ujemną stronę odnajdujemy, co wydaje się prawie nieuniknione, u wszystkich ludzi przybierających pozę proroków, trochę na sposób szermierzy, nawet jeśli jest to bardzo szczerze. Myślę tu, na przykład, o Karlu Barth*). Przyjmując jednak, że istnieje granica, z której warto zdać sobie sprawę, przykładając się będzie do pozytywnych treści tych „proroków” znaczenie, na jakie, w istocie, zasługują. Wypada nam teraz dopełnić i zakończyć poprzednie spostrzeżenia kilkoma refleksjami natury bardziej spekulatywnej, niż literackiej i jeśli ktoś sobie życzy, teologicznej.

Możemy wszyscy, księży i wierni Kościoła Katolickiego, odpowiednio przystąpić do rachunku sumienia. Czyż nie jesteśmy istotnie skłonni na skutek tego samego uczynionego nam daru, że żyjemy w kościele trwałym, jak skała, na której został założony, zbyt mało myśleć o Duchu Świętym. Kościół wydaje nam się słusznie trwałą rzeczywistością, założoną przez Pana naszego, lecz także czymś, co założone przezeń i zapatrzony w siebie samym przez Niego we wszystko, co mu do życia potrzebne, nie odczuwa już do pewnego stopnia potrzeby Jego interwencji. Czy kiedy rozumiemy i mówimy, nie robi to czasem wrażenia jakoby Kościół, od chwili gdy Chrystus ustanowił wszystko przed swym odejściem, miał w sobie samym (co jest prawdą), lecz bez Niego (co jest fałszywe) wszystko, co potrzebne dla wypełnienia swego dzieła. Pomyślmy, na przykład, o sposobie, z jakim niektórzy mówią czasem o Sakramentach a także i o nieomyślności aktów papieskich. Czyż nie mówi się, że wobec ustalonych warunków kanonicznych tych spraw, mechanizm pracuje sam, dzięki mądrości Twórcy, który wszystko powiedziaławszy, również wszystko rozporządził? Cały Kościół byłby zatem razem ze swymi „pełnomocnictwami” wielką administracją Zbawienia, wielkim aparatem łask, w którym Chrystus nie interweniowałby już osobiście.

Zapewne przejaszkrawiłem tu taj. Nikt nie popiera takich poglądów, przynajmniej na gruncie teorii. Byłoby to zresztą zupełną herezją. Lecz czyż nie ma cząstki tego w konkretnych myślach, których wiele rodzi się z Kościoła? zwłaszcza w tym, co wprowadza się w praktykę. Niebezpieczeństwo praktycznego działania w ten sposób czyż nie jest potrosze okupem za nasz obiektywizm?

Ta sama tendencja może przybrać formy mniej krańcowe i

nawet wśliznąć się do bardzo „mystycznej” koncepcji Kościoła i kapłaństwa. Niektóre przedstawił Kościół jako mistyczne Ciało Chrystusa, jako „trwającego wcielenia” doprowadzają w końcu do uznania bez żadnych różnic poczyną hierarchicznych, nawet życia Kościoła w jego wspólnocie — za tyleż aktów Chrystusa, w których występuje on zobowiązany jakąś raz na zawsze zyska na emancypację, natomiast zobowiązania te nie zdają się wymagać z Jego strony aktualnej interwencji. W Kościele, powtórzę jeszcze raz, jest wszystko dane. Ukazuje się Chrystusa rządzącego w Kościele, uświęcającego w Kościele i to jest rzeczą właściwą. Mniej ukazuje się Chrystusa rządzącego Kościołem, uświęcającego Kościół. Sądzę, że wszystkie te stwierdzenia nie są fałszy-

Wiktor Doda

Jeszcze o nowym wydaniu Sienkiewicza (Odpowiedź sprawozdawcy na replikę redaktora „Dzieł”)

Drukując odpowiedź Wiktora Dody na zarzuty prof. dr J. Krzyżanowskiego, pragniemy dać naszym Czytelnikom okazję do wglądu w trudne arkana pracy edytorskiej a polemikom szansę publicznego wykazania siły argumentów. Sądzimy, że wszyscy zainteresowani po sile argumentów domyślą się siły uprawnień polemistów do rozstrzygnięcia powstałego między nimi sporu.

Posiadam szczęście naprawdę wyjątkowe: rzadkie oto moje wypowiedzi z zakresu krytyki filologicznej powoływają przedstawicieli naszej filologii uniwersyteckiej do gwałtownych wystąpień. Trzeci rok upływa, gdy nade mną zaświstał z daleka „pociągł profesor” z Krakowa; z przyczyn ode mnie niezależnych i doprawdy szczególnych odpowiedź moja nie ukazała się po dzień dzisiejszy. W przededniu trzeciej rocznicy tamtego pojawił się nowy osobliwy okaz profesorskiej irytacji. Mówię o świeżym liście, którym prof. Julian Krzyżanowski uczęstował mnie i czytelników w nr. 16/230 „Dziś i Jutro” (z 23 kwietnia). Tym razem spokojna i rzeczowa moja odpowiedź dotrze niechybnie do rąk czytelnika. Dostatecznie chyba przesądzą o tym dobre obyczaje i honor domu, w którym niedawno udzielono mi gościny. Pragnę zaś i wolno mi bronić swojego prawa do niejakej kompetencji w tej dziedzinie, w której przed kilkunastu laty stawiałem pierwsze kroki i w gąszczu zagadnień z trudem torowałem pierwsze ścieżki.

Ale uczynię to spokojnie: Irytacja bowiem bywa złym doradcą i rzadko okazuje się przejawem należytej znajomości rzeczy. Czy zaś metoda stosowania wyzwick w dyskusji ujawnia coś więcej ponad zaciętrzewienie i bezsilność w argumentacji? I komu w końcowym efekcie ubliża? A popłaca chyba wyłącznie przed trybunałem gawiedzi. I dlatego, chociaż łatwo mógłbym odwzajemnić się pięknym za nadobne i dzisiajjsze swoje uwagi ubarwił soczystym jakimś cytatem, nie odważam się do tego przez szacunek dla samego siebie, dla gościnnych łanów piśmi i czytelników. A także przez prostą ludzką lojalność wobec poważnego mojego oponenta; umiem się na to zdobyć, czego oczekiwać od dotychczasowych moich polemistów byłoby daremne.

W nr. 13/227 „Dziś i Jutro” z dnia 2 kwietnia ukazała się notatka sprawozdawcza piszącego te słowa „O nowym wydaniu Sienkiewicza”, omawiająca, pokrótce, ściśle biorąc, jego pierw-

we, jedynie trochę jednostronne, niewystarczające. Z jednej strony ponosi się ryzyko zmaterializowania nieco łaski Bożej, będącej dlań przede wszystkim ulubionym miłosiernym i skutecznym upodobaniem, z drugiej zaś strony ryzykuje się zapoznanie przewagi, jaką Chrystus zachowuje względem swego Kościoła. Jeśli Kościół bowiem jest jego Ciałem, nie wolno zapominać, że Chrystus jest i pozostaje — Głową; analogię ciała trzeba dopełnić przez analogię jedności małżeńskiej. Małżonek i małżonka prowadzą to samo życie, lecz pozostają dwiema osobami, mężczyzna zaś jest zwierzchnikiem niewiasty.

W naszej koncepcji Kościoła, nie wolno więc zapominać o suwerenności i wolności działania Boga, który interweniuje wedle swego upodobania, poza wszelką formą instytucji. Aby za-

czyć, że pozostaje Panem, tam, gdzie nawet zdaje się nam, że zwykł. On interweniuje sam poza wszelką uregulowaną instytucją i poza wszelkim ocenkowaniem. Nie można wyeliminować z Kościoła charyzmatycznego i proroczego aspektu. Trzeba jednak bardziej jeszcze, nie negując żadnego aspektu, nie poświęcając administracji na rzecz natchnienia, ani łaski na rzecz urzędów, umieć zdać sobie sprawę z tej wspaniałej pełni zrównoważonego życia i organizacji całej natchnionej Duchem św., jaką jest Kościół Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Katolicyzm zawiera w sobie pełnię. Aby zrozumieć katolicyzm, trzeba przede wszystkim aspektów prawdy, która w prostocie swej obejmuje skrajne elementy, wypełniając wszystko ich synteza.

Yves Congar O. P.

szę dziesięć tomów. List prof. J. Krzyżanowskiego jest repliką redaktora edycji na zwięzłą ocenę sprawozdawcy.

Czytelnicy, którzy zauważyli obydwie te wypowiedzi, mają zapewne świeżo w pamięci wywody i ton obydwu. Chętnie z tego korzystam i przechodzę odradza do rozważenia próby sformułowania przez redaktora „Dzieł” Sienkiewicza konkretnych i szczegółowych zarzutów przeciwko wywodom sprawozdawcy. Czy nie one bowiem wydają się i są najistotniejsze dla rzeczowej oceny jego repliki?

Domniemanych tych zarzutów konkretnych jest cztery i mieszczą się w środkowej części listu warszawskiego profesora. Czy nie warto przyjrzeć się im bliżej? Omówię je kolejno poniżej.

1) W tym punkcie redaktor „Dzieł” przyznaje, że zgodnie z zarzutem sprawozdawcy istotnie w przedruku dwu nowel Sienkiewicza oparł się na tekście wydania „Tygodnika Ilustrowanego” i próbuje to wyjaśnić niedostępnością w roku 1947 w Warszawie „tekstów poprawniejszych”. Nie jednak nie usprawiedliwia takiego wyboru tekstów podstawowych, zwłaszcza, że wydawca zamieścił o tych „trudnościach” w odpowiedniej „nocie” edytorskiej.

2) Kolejny ten zarzut przystają się w pozory kategorycznego sprostowania prasowego. Jakże jednak rewelacyjnie brzmi jego formuła: nieprawdą jest, że teksty są rzadko sprawdzane z pierwodrukami, prawdą natomiast jest, że... jeśli... co jest wyjątkiem... rzadko... Poczłkowa kategoryczność zaprzeczenia wywodom sprawozdawcy znacznie słabnie, wręcz niknie przy próbie pozytywnego ustalenia domniemanej tej strony pracy edytorskiej polemisty. Ale bo też nie łatwo bywa wybielić to co czarne. Utrudniają zresztą ten proceder wyraźne fakty: autorytatywne „noty edytorskie” redaktora „Dzieł”, które były w tym względzie argumentem dowodowym sprawozdawcy, niezauważonym — dziwnym trafem — przez szanownego mojego oponenta. I tym notom wolno mi było niedowierzać, z profesorskimi bowiem tendencjami do rozmiągania się z prawdą nie spotykam się dzisiaj po raz pierwszy. Ale sam doraźnie sprawdziłem ich wiarygodność. Dalo mi to prawo stwierdzić w artykule sprawozdawczym, że teksty rzadko i niedostatecznie bywały sprawdzane. Dzisiaj powtarzam to w całej rozciągłości i uzupełniam uwagę, że ze strony wydawcy było to wyraźnym zbagatelizowaniem jego obowiązków edytorskich przy Sienkiewiczu, którego teksty po raz pierw-

szy szły „na warsztat naukowy”. Cóż bowiem np. nowelę zyskały w tym „warsztacie”? No, profesorska firma tej miary nigdy nie jest do pogardzenia. Ale w pracy wydawniczej to chyba jeszcze nie wszystko? Mój szanowny oponent dostrzegł to również i dlatego usiłuje rozszerzyć platformę dyskusji na dalsze tomy edycji, by z nich stworzyć załone dymią dla pierwszych pięciu i ich nieodpartych mankamentów. Dalsze tomy edycji do mnie nie doszły i z przyczyn dzisiaj zrozumiałych prawdopodobnie nie dojdą, z konieczności więc nie przyjmuję dyskusji z ich uwzględnieniem.

3) Trzeci zarzut redaktora „Dzieł” dotyczy nieuzasadnionej rzekomo opinii sprawozdawcy o metodzie edytorskiej, użytej przez wydawcę przy wspomnianych pięciu tomach nowel Sienkiewicza. Nie orientuje się mianowicie, które to teksty nowel są „przedrukami nieskontrowanymi”. Wyjaśnię uprzejmie, że wystarczające wskazówki w tej sprawie znajdzie w własnych „notach” edytorskich od tych tomów i z grubsza, zarezerwam, może im zaufać. Rozumiem dobrze, że już trudniej byłoby mu się zorientować, które to teksty są znów przedrukami „nie rzadko mniej starannymi”. Czy dwa przykłady sprawozdawcy, zaczerpnięte z noweli „Na jasnym brzegu”, nie wzbudziły żadnych w tym względzie podejrzeń redaktora edycji? Skwapliwie potraktował je od strony ilościowej, jako jedyne (jakoby) znane sprawozdawcy i czym prędzej oszacował na 2 procent w stosunku do wszystkich dziesięciu tomów. Spiesz się wywieść go z opłotków dumnego tego złudzenia.

Już bodajże nowelę „Na jasnym brzegu” obciążają dalsze błędy teksturalne: „z kwieciami brzoskwiń” (VI. s. 160), zam. „brzoskwiń” (I wyd. s. 3); „ona zaś sama...” (VI. s. 170), zam. „ona sama zaś...” (I wyd. s. 21); „ale za to był głupi...” (VI. s. 173), zam. „ale że był głupi...” (I wyd. s. 32); „jeśli paniowie są realistami, to niech piszą...” (VI. s. 171), zam. „jeśli ci paniowie są realistami, niech piszą...” (I wyd. s. 33); „poczucie, że jest już związany...” (VI. s. 185), zam. „już jest...” (I wyd. s. 57); „Dzień był istotnie jaśniejszy...” (VI. s. 195), zam. „Dzień był istotnie jaśniejszy...” (I wyd. s. 78); o których pani dowie się jutro...” (VI. s. 202) zam. „o których się pani dowie jutro...” (I wyd. s. 94); „Wydal jej się czymś...” (VI. s. 203), zam. „wydal się jej czymś...” (dokończenie na str. 8-mej)

*) Naświetlił to w sposób godny uwagi szwajcarski teolog protestancki W. Vöelker.

*) Protestantcki teolog szwajcarski znany ze swych odważnych wystąpień przeciwko hitleryzmowi.

Czescy tłumacze utworów literatury polskiej

Związki kulturalne polsko - czeskie mają starą tradycję, prawie tak starą jak kultura polska. W dzisiejszych czasach te kontakty niezwykle się ożywiły dzięki politycznym, gospodarczym i kulturalnym układom łączącym oba państwa. Pragniemy, aby garść wiadomości o naszych czeskich przyjaciółach, które zebraliśmy w tym numerze, była przez nich przyjęta jako wyraz naszego zainteresowania dla ich spraw, które są często naszymi wspólnymi sprawami.

OTTO FRANCISZEK BABLER

O. F. B. od r. 1915 mieszka w Świętym Kopecku (Svatý Kopeček) pod Olomuńcem (ośrodek czeskiego kultu mariańskiego, odpowiednik naszej Częstochowy, gdzie znajduje się słynna na całą Czechosłowację barokowa świątynia Matki Boskiej).

Od lat szeregu pełni obowiązki bibliotekarza w Olomuńcu (obecnie w bibliotece uniwersyteckiej); jest również lektorem języka serbo-chorwackiego na uniwersytecie Pałackiego w Olomuńcu. Głównym jednak powołaniem życiowym O. F. Bablera jest literatura piękna.



Otto Franciszek Babler obchodził w roku ubiegłym trzydzieste lat swojej pracy literackiej, która pod względem szerokości zainteresowań i bogactwa dorobku naukowego wydaje się w swoim rodzaju fenomenem. Jest on tłumaczem utworów literatury światowej na język czeski. Dotychczas przetłumaczył i wydał do 150 odrębnych pod względem bibliograficznym tomów przekładów i antologii z literatury słowiańskich, francuskiej, angielskiej, niemieckiej, włoskiej. Znaczna część tych przekładów — czterdzieści siedem — ukazała się w wydawnictwie „Ilasy” („Głosy”), które wychodzi od r. 1926 w Świętym Kopecku pod redakcją O. F. Bablera. Wydawnictwo to, które zadziwia już nawet długoletnią swego istnienia, charakteryzuje się, niezależnie od troskliwości o dobór doskonałej treści, pieczołowitością redaktora o jego wyposażenie zewnętrzne. Wszystkie prawie tomy zawierają drzeworyty i rysunki artystów czeskich z Konoupciem na czele. Wydaje się, że Babler, inicjując w Świętym Kopecku swoje wydawnictwo, poszedł śladami mistrza Józefa Floriana, który również kładł wielki nacisk na wyposażenie estetyczne swoich serii wydawniczych.

Cheąc zorientować polskiego czytelnika w treści „Hlasow”, wypiszę z tomu 15 „Antyfony, hymny i sekwencje od IV do XIX stulecia” (zawierającego przekłady łacińskich pieśni kościelnych, używanych w kościele katolickim, pióra tegoż Bablera) niektóre pozycje wydaw

nicze: Aucassin i Nicoletta, średnio-wieczna opowieść francuska, Legendy ukraińskie, Legendy etiopskie, Biblijne tradycje arabskie, Giovanni Pascoli, Eugenia de Guerin, Maurycy de Guerin, Paweł Claudel (szereg utworów w szeregu tomów), Fryderyk Deml, Thompson, R. J. Sorge, Mary Devenport O'Neil, Rainer, Maria Rilke, Wiliam Blake, Gustaw Flaubert, Petrarca, Goethe etc.

Niezależnie od „Hlasow” wydał Babler przekłady „Makbeta” i „Króla Leara” Szekspira. Za „Leara” otrzymał w r. 1947 nagrodę literacką miasta Olomuńca.

Za główne dzieło swojego żywota pozostaje O. F. Babler całowity przekład „Boskiej Komedi” Dantego na język czeski, który czeka jeszcze na wydanie.

Równoległe z pracami przekładowymi rozwija się praca naukowo-krytyczna Bablera, który wydał szereg studiów i artykułów literackich oraz kulturalno-krytycznych, drukowanych w czasopiśmie czeskich, słowackich i zagranicznych, których jest współpracownikiem. Ostatnią ukończoną już pracą naukową Bablera są studia nad dantologią w krajach słowiańskich, między innymi również i w Polsce.

Sporą, powiedzmy nawet, dużą zasługą Bablera — z naszego, polskiego punktu widzenia — są jego tłumaczenia z literatury polskiej na język czeski. Od kilku lat drukuje on w czeskich czasopiśmie tygodniowych i prasie codziennej przekłady licznych polskich pieśni ludowych, poezji Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Norwida, Jana Kasprówicza, Kazimierza Błakowiczówny, Juliana Tuwima i w. in. W r. 1923 wydał osobny tom tłumaczeń z Marii Konopnickiej, w r. 1928 — tom ballad Emila Zegadłowicza. Ostatnio przełożył na język czeski „Zdania i uwagi” Mickiewicza i przygotował je do druku, zaopatrzony przekład we wstęp historyczno-literacki i konieczne edytorskie objaśnienia. Mieliśmy w swym czasie sposobność omówienia tego ostatniego przekładu Bablera w „Słowie Powszechnym”, podkreślając wierność w stosunku do oryginału i jego wdzięk poetycki. Jednocześnie przedrukowaliśmy tamże parę „Zdań i uwag” w oryginale i w tłumaczeniu celem zademonstrowania naszym czytelnikom tego przekładu, tak bliskiego Polakom.

Przekłady Bablera z literatury polskiej stawiając go obok zasłużonego dla sprawy zacieśnienia stosunków polsko-czeskich Franciszka Halasa, tłumacza Mickiewicza, jak również obok znanego propagatora w Czechosłowacji kultury polskiej, przyjaciela naszego, Dra Józefa Svitil-Karnika.

j. n. d.

JÓZEF SVITIL-KARNIK

Z Polską i jej sprawami zetknął się jeszcze jako młody chłopiec, czytając „Wieczory pod lipą” Lucjana Siemieńskiego w przekładzie czeskim z r. 1867 i słuchając opowiadań w swej rodzinie o prześladowaniach Polaków w Poznańskim. Do opanowania polszczyzny zabrał się jako uczeń gimnazjum w Havičzkowym Brodzie; wtedy również poznał w oryginale „Pana Tadeusza” przy pomocy przekładu czeskiego Elizy Krasnohorskiej. Poznawał z poematu szlachetny tok mowy Mickiewicza, harmonijny rytm jego wiersza, jak i wieczne pierwiastki narodowej duszy polskiej. Wzbogacał później swoje wiadomości z zakresu języka i kultury polskiej, czytając Kraszewskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego i Reymonta. Szczególnie mocne wrażenie wywarła nań „Wierna rzeka”. Jeszcze jako student-medyk w Pradze słuchał wykładów o wielkiej ro-

mantycy polskiej; z tych czasów pochodzi jego młodzieńczy artykuł o Kornelu Ujejskim.



Taka była droga do Polski J. Svitil-Karnika, którą tu w skrócie odtwarzam, bo ma ona swoje znamiona typowe, powtarzające się u innych naszych przyjaciół słowiańskich, pociągniętych ku Polsce właśnie jej tradycją literacką, a w niej — pewnymi określonymi pozycjami autorów i ich książek.

Doszło szczęśliwie i do jego kontaktu osobistego z Polską, kiedy jako lekarz armii austriackiej znalazł się podczas pierwszej wojny światowej na polskim terenie, w Nowym Sączu, Dziedzicach i Bochni. Tu dochodzi do pogłębienia w Svitil-Karniku znajomości naszej kultury pod wpływem bezpośredniego kontaktu z jej pamiętkami w Krakowie, zwłaszcza zaś — z jej żyjącymi przedstawicielami. Szczególnie wdzięcznie wspomina Stanisława Fischera, prof. gimn. bocheńskiego, u którego mieszkał jako lekarz wojskowy w Bochni. Korzystał z jego biblioteki, a rozmowy ze światłym gospodarzem, jego rodziną i kulturalnymi jego gośćmi stworzyły atmosferę, w której dojrzał duchowo do przyszłej swej roli — propagatora polskości wśród Czechów. Z propagandą polityczną idzie równoległe jego propaganda kulturalna — postaci artykułów i studiów kulturalno-literackich na łamach „Archy”, „Osviety”, „Života” i in. periodyków. Czasy wojenne pozwoliły J. Svitil-Karnikowi na częstsze wyjazdy do Polski (Kraków, Warszawa, Zakopane, Poznań, Gniezno, Częstochowa) i na nawiązanie bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami polskiej nauki i literatury (Galuszka, Kudliński, Jan Wiktor, Zegadłowicz, Tuwim, Błakowiczówna, Miriam-Przesmycki, Magiera, Ign. Chrzanowski, Kostanecki); wchodzi też w stałe kontakty listowe z A. Madejem, Józ. Birkenmajerem, Wit. Bunikiewiczem i Opęchowskim.

J. Svitil-Karnik ogłosiwszy od r. 1904 kilkanaście tomów własnych wierszy, opowiadań i powieści jest znanym dziś w Czechach poetą.

W naszej pamięci zapisał się trwałe przekładami z literatury polskiej i studiami z jej zakresu. Wymieniam je tutaj według kolejności wydań.

Pod peruti Bileho Orla (1926) z artykułami: Jan Kochanowski i jego dzieła, Trzeci Maj, Tadeusz Kościuszko, Głosy do „Pana Tadeusza”, Zygmunt Krasiński o komunizmie, Matejko — człowiek Boży, Triumf Sienkiewicza, Twórca epopei narodowej (Reymont), Inter arma Stef. Żeromskiego.

Jan Kochanowski. Treny a fraszky (1928).

Z polskiego Parnasu (1930 — Konopnicka, Staff, Kasprówicz, Zegadłowicz, Rydel, Tuwim).

St. Wyspiański. Kazimír Velky (1931).

E. Zegadłowicz. Budiejevicke louky (1934).

Poesie svobodne Polsky (1937 — K. H. Rostworowski, K. Makuszyński, K. Błakowiczówna, J. Birkenmajer, M. Pawlikowski, J. Kasprówicz, L. Staff, Or-Ot, W. Bunikiewicz, J. Pietrzycki, J. Ejsmond, E. Zegadłowicz, J. A. Galuszka, J. Tuwim, J. Braun, M. Pawlikowska, A. Madej, J. Brzostowska, J. Libert, J. Sztadynger, A. Fierla, W. Czereszniwski, W. Bąk).

Zdołał on zachować w swoich przekładach walory literackie oryginałów; umiłowanie przedmiotu i rzetelność towarzyszą jego polskim studiom literackim. Wachlarz zainteresowań — szeroki. Podkreślimy tutaj wartość przekładów i studiów Svitil-Karnika ze staropolszczyzny znanej mniej naszym sąsiadom, niż wiek XIX i XX. Najlepiej chyba wartość utworów tych w dziele zbliżenia polsko-czeskiego ocenił okupant niemiecki, umieszczający te rzeczy na indeksie i niszcząc całowity nakład „Pod peruti Bileho Orla” w Olomuńcu.

„Czyniąc w pamięci przegląd swej działalności literackiej i publicystycznej — pisze w liście do nas J. Svitil-Karnik, dobiegający osiemdziesiątego roku życia — dziękuję Bogu, że mi pozwolił pracować nad zbliżeniem czesko-polskim. Zostanę wierny temu ideałowi do ostatniego tchu, a nie żałuję ani jednego wiersza, jaki kiedykolwiek napisałem w służbie tej mojej drogi życiowej”.

Wierny swojemu rodzinnemu miastu (Nove Miesto na Morawach), mieszka w nim bez przerwy od r. 1906. Jest on członkiem Instytutu Słowiańskiego w Pradze oraz honorowym członkiem towarzystw czesko - polskich ziem Morawsko-śląskiej. W r. 1948 został za swoje zasługi dla Polski dekorowany przez nasz rząd krzyżem komandorskim Polonia Restituta.

j. n. d.

ADOLF CZERNY

Do postaci, które w dziejach rozwoju przyjacielskich stosunków kulturalnych czesko - polskich odegrały ważną rolę w ostatnim półwieczu, należy niewątpliwie, obok czcigodnego Jerzego Karlika ze Lwowa, — Adolf Czerny, sławista, poeta, tłumacz, publicysta i uczyony, dożywający w Pradze pięknej starości (ma 84 lat). Nasza Akademia Umiejętności zaprosiła go niedawno w poczet swoich członków, ale mimo to młodsze pokolenie już nie wie o jego zasługach. Imię jego na zawsze zostanie związane z dziejami Łużyczan, których stał się jednym z budzicieli, ale też imię to sprzęgło się wieloma węzłami z Polską. To tłumacz Słowackiego, tłumacz „Króla Duch”, najtrudniejszego i bodaj żadnej poza tym literaturze nie przy swojego poematu. Ażeby się porwać na tak ogromne zadanie, nie wystarczyła doskonała znajomość języka polskiego, którego Czerny długie lata był (od 1901 r.) lektorem w Uniwersytecie praskim, trzeba było posiadać nadto talent poetycki. Adolf Czerny jest poetą i to nieprzejętym. Przed 50 laty ogłosił kilka tomików wierszy pod pseudonimem Jana Rokyty. Wiersze w ojzyźnie jego cenione, dotarły też rychło do Polski. Tłumaczyła je pięknie Alina Sviderska w petersburskim „Kraju”, w 1900 r., a omawiała m. in. obszernie tamże Romualda Baudouin de Courtenay (nr 25). Ale również duża zasługa Czernego, który pisał też i ogłosił po polsku kilka prac etnograficznych, polegała na szerzeniu w ciągu całych dziesięciu lat wiadomości o kulturze polskiej. Czynił to stale w redagowanym z górą ćwierć

wieku przez siebie czasopiśmie „Slovanskym Przehladzie”, gdzie pojawiło się mnóstwo sprawozdań, omówień i ocen rzeczy polskich. W całej swej owocnej działalności był szczerym kontynuatorem filopolskich tradycji Jelinka i T. G. Masaryka, swego mistrza. Polska zaciągnęła wobec niego niespłacony dług wdzięczności.

P. G.

FRANCISZEK HALAS

Franciszek Halas, członek czeskiej partii komunistycznej, długą odbył wędrówkę, zanim nadał swej poezji pełne społeczne brzmienie, które uczyniło z niego poetę chyba najbardziej popularnego w dzisiejszych Czechach.

Zanim zaczął pisać nie o sobie i nie dla siebie, ale dla całego swego narodu, przeszedł drogę długiego terminowania u zagranicznych mistrzów w służbie, sztuki dla sztuki, czeskiego „poetyzmu”, prądu literackiego, który był w gruncie rzeczy przybłądą na narodowym gruncie czeskim, prądem kosmopolitycznym, jak liczne nasze „iziny” literackie, pleniące się w Polsce międzywojennego dwudziestolecia.

Zanim wydał w r. 1936 swoje „Na oścież”, wyznanie wiary poety społecznego, łączącego się w dążeniach i aspiracjach z masami społecznymi, wydał szereg zbiorów poezji o piętnie indywidualnym i formalistycznym, a za jeden otrzymuje nawet nagrodę państwową.

Ale kiedy wszedł na drogę twórczości, która troski całej narodowej społeczności uznawała za troski swoje, kroczył nią konsekwentnie i dochodzi do osiągnięć również i pod względem artystycznym nieprzeciętnych. Stworzył przecie taką pieśń, jak „Zawiniemy rękawy”, która się stała własnością ogółu czeskiego.

Daloby się to samo powiedzieć o paru jeszcze innych lirykach Halasa, które przeszły w masy ludowe, tworząc powoli związek z osobą ich twórcy. Stały się może kiedyś utworami „anonimo-



wej” twórczości ludowej. Wielki to awans literacki dla każdego utworu.

Na drogę właściwego a pełnego swego powołania poetyckiego wszedł Halas pod wpływem ciężkich doświadczeń własnego narodu, uciemiężonego przez narodowo - socjalistyczne Niemcy, na jesieni r. 1938. Wybuch drugiej wojny światowej, która pogłębiła kryzys polityczno - społeczny Czech, pogłębiła w Halasie problematykę narodowo - społeczną. Świadczą o tym jego druki z czasów okupacji.

Byłoby bardzo ciekawym zadaniem wykazać dokładnie, jakie zasługi w obudzeniu czy raczej — mówiąc skromniej — pogłębieniu ogólnonarodowych tendencji twórczych Halasa ma nasza literatura.

(dokończenie na str. 6-iej)

IE posiadamy dotychczas monografii wzajemnych relacji, wpływów, związków i zetknięć, jak Czesi mówią, „styków” kulturalnych czesko-polskich. Daleko do takiej pożądanej i oczekiwanej syntezy, nie tylko z tego powodu, że okres obejmuje 10 wieków dziejów obu narodów, ale też z przyczyn zupełnego do niedawna zaniedbania tego przedmiotu badań. Lepiej znana nam jest historia stosunków kulturalnych np. polsko - francuskich niż najbliższych sąsiadów i pobratymców z Południa. Sprawy te ulegają jednak zwolna poprawie, co stanowi w dużej mierze zasługę z naszej strony prof. Mariana Szykowskiego, który pierwszy odsonił bogate dzieje recepcji polskiej poezji romantycznej w Czechach i nie ustaje w pracy nad poszerzeniem zakresu własnych badań. Uczeń jego prof. Karol Krejczy zajął się m. in. literaturą staropolską, której związki z czeską, mimo badań Brücknera, Dobrzyckiego, Wierczyńskiego i innych, zawierają wiele momentów niejasnych. Postulatem przede wszystkim polonistyki powinno stać się obecnie dążenie do rychłego wyrównania tych zaległości. Da się to zaś naprawić przez liczniejsze niż dotąd wysyłanie badaczy i studentów polskich do Pragi i nawzajem, ułatwienie studiów Czechom w Polsce, dalej: przez organizowanie badań zespołowych oraz publikowanie prac i urządzanie stosownych konkursów.

O SŁOWNIK CZESKO - POLSKI
Warunkiem zbliżenia kulturalnego jest wzajemne poznanie bogactw kul-

Piotr Grzegorzczak

Kulturalne Związki czesko-polskie

(Luźne uwagi i postulaty)

turalnych. Zbytecznym byłoby dowodzić, jak wielką rolę odgrywa przy tym dobry słownik. Otóż sytuacja pod tym względem jest niewesoła. W Polsce wzrasta nieustannie zainteresowanie Czechosłowacją zwłaszcza wśród młodzieży, które chętnie bierze do ręki czeską lub słowacką książkę i zetknąwszy się z nieznanym wyrazem, woła o słownik. „Mają słuszną Czesi, z którymi się na ten temat rozmawia, że dotychczas wszystkie słowniki czesko-polskie i polsko - czeskie: Hory, Kaczora, Wydry, Beczki, opracowali sami Czesi, że wkładu naszej pracy tam nie ma. Druga przeto sprawa najpilniejsza, którą powinna może się zająć Polska Akademia Umiejętności, to wylonienie Komisji Słownika czesko-polskiego. Dotychczasowe słowniki są bowiem dawno wyczerpane, przestarzałe lub zbyt małe na dzisiejsze potrzeby. Czekamy z upragnieniem na będącą w druku drugą część Słownika prof. Bohumila Wydry, czesko-polską, ważną właśnie dla nas, i spodziewamy się, że praca tego dobrego sławisty nas nie zawiedzie. Z góry można jednak powiedzieć, że przyszły słownik Wydry rynku naszego nie nasyci i nie zwolni nas od ciężącego obowiąz-

ku wkładu z naszej strony w tę ważną domenę.

Jeżeli zaś mowa o książkach, warto dodać, że książka czeska i słowacka jest w Polsce rzadkością i to rzadkością dorys kosztowną. Z Czechosłowacji nie łatwo pono wysłać książkę do Polski, gdy tymczasem z Polski wysyłać je można bez trudu z każdej poczty. To zaś, co czasem z Pragi przychodzi, wyznajmy, nie zawsze należy do rzeczy pożądanych. Czasem są to po prostu przekłady na język czeski. Brak zaś dobrej czeskiej i słowackiej literatury oryginalnej.

Nie ma np. Brzeziny, nie ma prac Szaldy ani Mukarzewskiego, powieści Jana Czepa, lub wierszy Halasa, Demla, Zahradniczka, żeby wymienić parę nasuwających się wybitniejszych nazwisk. Brak też podręcznika kultury, literatury, plastyki i muzyki czeskiej. Sprawy te zapewne wartoby rozważyć i przedyskutować wzajemnie.

**CZESI W WARSZAWIE
PRZED 40 LATY.**

Zbiorowe wycieczki czeskie do Polski w epoce caratu należały do rzadkości.

Po długich staraniach udało się jednak w lecie 1909 r. zorganizować jedną taką wycieczkę i jej uczestników przyjąć serdecznie w Warszawie. Manifestacje przyjaźni musiały być oczywiście raczej skromne i ograniczyć się poza kontaktami towarzyskimi do zaproszeń na spektakle teatralne. Grano „Mazepę” Słowackiego i wtenczas to do zebranych na widowni gości czeskich wygłosił przed rozpoczęciem przedstawienia Józef Kotarbiński z porywającą siłą wyrazu piękny wiersz Or-Ota (Artura Oppmana) o przyjaźni polsko-czeskiej.

Poruszyliśmy zaledwie parę postulatów i przypomnieli kilka fragmentów wzajemnych stosunków kulturalnych. Lata obecne pogłębiają i wzbogacają obojętne zainteresowanie i zrozumienie nie tylko w dziedzinie kultury ale również w sferze stosunków gospodarczych. Poznajemy nie tylko literaturę czeską w coraz lepszych przekładach, nie tylko czesko-słowacki film, teatr, muzykę i plastykę ludową, ale też korzystamy ze wzajemnych usług gospodarczych. Na zrozumieniu wzajemnych wartości opiera się niezbędne wzajemne poszanowanie i zaufanie.

Piotr Grzegorzczak.



Wacław Rzeżacz



Anna Fuimanowa

Czescy tłumacze utworów literatury polskiej

(dokończenie ze str. 5)

Boć przecież wiadomo z osobistych wyznań samego Halasa (cytuje za J. Włodkiem, „Twórczość”, grudzień 1949) że inspiratorką jego natchnień twórczych w okresie drugiej wojny światowej stała się nasza wielka romantyka jako poezja, wcielająca w sobie rewolucyjne tendencje uciemiężonego narodu, jako poezja buntu i nadziei. Sam Halas podkreśla wielkie znaczenie dla siebie jako pobudki twórczej politycznych i społecznych pism Mickiewicza. Ścisłe prześledzenie początków i rozwoju zainteresowań Halasa literaturą i kulturą polską pozwoliłoby na zademonstrowanie siły atrakcyjnej naszej kultury w stosunku do zachodniego słowiańskiego sąsiada. W każdym razie Halas więcej skorzystał z krótkotrwałego stosunkowo kontaktu z Mickiewiczem, niż z długotrwałej swej zażyłości z całą plejadą „nadrealistycznych” mistrzów słowa poetyckiego we Francji.

Studia Halasa nad literaturą polską, dały trwale owoce formie jego przekładów na język czeski. Przetłumaczył i ogłosił całość „Dziadów”, „Grażynę”, „Konrada Wallenroda” i szereg drobnych utworów Mickiewicza. Zdążył przetłumaczyć i wystawić na scenie czeskiej „Balladynę” i „Lilję Wenedę” Słowackiego. We wszystkich jego przekładach był mu bardzo pomocny jego przyjaciel i znawca literatury polskiej, sam tłumacz na język czeski „Anhellego” — Józef Mateusz. Ukoronowaniem jego przekładów z literatury polskiej miało być tłumaczenie „Pana Tadeusza”, rozpoczęte a nieukończone wskutek śmierci poety.

Za przekłady Mickiewicza otrzymał Halas wysokie odznaczenie państwowe od rządu polskiego, a od PEN-Clubu polskiego — złoty medal. j. n. d.

Karol Kornik

PRASA W CZECHOSŁOWACJI

Pierwsze spojrzenie, jakie się zagra nicą rzuci zaraz po wyjściu z wagonu kolejowego — skierowane jest na kiosk z gazetami. I chociaż przybysz z innego kraju nie wiele z obcojęzycznych nazw czasopism rozumie — spogląda jednak z zainteresowaniem na zadrukowane kartki papieru, na barwne okładki periodyków. Pociąga go przede wszystkim graficzne oblicze pism. Przyzwyczajony jest co dzień patrzeć na jakiś swój „Przekrój”, „Express”, czy „Problemy”, a tu nagle zupełna inność. A przecież nie ma nic bardziej interesującego, jak właśnie poznanie tej inności. Odkrywanie zjawisk i rzeczy nowych, nieznanych lub mało znanych, zjawisk i rzeczy, z którymi się nie żyło i które dlatego właśnie tak bardzo rzucają się w oczy, tak bardzo są zauważalne.

Prasa w Czechosłowacji łączy w sobie dwa elementy: element nowoczesności i element tradycjonalizmu. Dostrzec to łatwo już po pobieżnym zainformowaniu się z treścią i szatą zewnętrzną dzienników i czasopism.

Kiedy się weźmie do ręki pierwszy lepszy dziennik — uderza spokój i umiar w sposobie t. zw. łamania i doborze czcionek tytułowych. Szata zewnętrzna dzienników czeskosłowackich nawiązuje do starych tradycji. Większość pism ukazuje się w małym formacie („berlińskim”).

W Czechosłowacji ukazuje się 22 pisma codzienne (z tego i węgierskie w Bratisławie), 8 dzienników ma swoje bazy redakcyjne i drukarskie w Pradze: „Rude Pravo”, „Prace”, „Svobodne Slovo”, „Mlada Fronta”, „Lidova Demokracie”, „Obrona Ludu”, „Lidove Noviny” i „Zemedelske Noviny”.

Jeden z bardziej interesujących dzienników wydaje Związek Czechosłowackich Literatów. Są to „Lidove Noviny”, przypominające zewnętrznie dawne austriackie pisma, a także w pewnym stopniu dzienniki niemieckie i szwajcarskie.

„Lidove Noviny” zamieszczają na pierwszej kolumnie każdego prawie numeru krótki dwu-trzystronowy wiersz. W lewej szpalcie umieszczony jest zawsze artykuł wstępny. W prawej zaczyna się inny artykuł, przenoszony zwykle systemem niemieckim, bez żadnej uwagi, na następną kolumnę.

Tytuły artykułów są małe i „subtelne”. Większość materiału składa się pe-

tiem. Dużo jest także kursywy. „Lidove Noviny” wydają raz w tygodniu dodatek literacki pod nazwą „Kulturni Nedele”.

Dziennik narodowych socjalistów (benesowców) — „Svobodne Slovo” przypomina nieco nasz „Dziennik Polski”. W przeciwieństwie do „Lidovych Novin” pismo to stosuje pionowy system łamania (pięć szpalt na kolumnie). Techniczne „wykończenie” szczegółów łamania pozostawia tu sporo do życzenia. W „Svobodnym Slovie” kolumny przecinane są wzdłuż i w szerz najprzeróżniejszymi liniami wszelkiej grubości.

„Lidova Demokracie” jest organem naczelnym stronnictwa ludowego. I ten dziennik ma spokojny, stacyczny wygląd zewnętrzny. System łamania — poziomy. Cztery szpalty czterokwadratowe na kolumnie. Na stronie pierwszej — artykuł wstępny, depesze; od góry najczęściej duża trzyszpaltówka. Jedna, dwie kłisze. Interesująco redagowany jest dział „Denni zprawy”, będący polityczno-kulturalnym pele-mele.

Jedynym dziennikiem wydawanym w dużym formacie (t. zn. „paryskim”) jest „Rude Pravo” — organ naczelny Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Zewnętrznie przypomina on trochę warszawską „Trybunę Ludu”, ma od niej jednak mniej przejrzysty układ, mniej informacji krajowych i miejskich, znacząco więcej materiału sportowego. System łamania — poziomy z pionowym „wstawkami”. 8 szpalt na kolumnie.

Słów kilka powiedzieć należy także o dzienniku młodzieżowym „Mlada fronta” (organ Czechosłowackiego Związku Młodzieży), odpowiednik „Sztandaru Młodych”. Pismo to nie gardzi atrakcyjnymi tytułami i winietkami. Wiadomości redagowane są zwięźle. Do większości artykułów, nawet krótkich, wprowadza czytelnika t. zw. „headline”, czyli streszczenie, składane najczęściej tustą czcionką, przez dwie szpalty. Oczywiście dużo materiału młodzieżowego. Dużo stałych rubryk. Ostatnia kolumna, zatytułowana „Telesna Kultura”, poświęcona jest w całości sportowi. Zwraca tu uwagę obfitość informacji. Podawane są codziennie wyniki różnych spotkań sportowych.

Przy tym ta rozmaitość treściowa podana jest w przyjemnej formie; technicznie kolumna sportowa „Mladej Fronty” może stanowić wzór dla wielu innych dzienników.

Inne dzienniki to: „Prace” (organ centralny związków zawodowych), „Ze-

medelske Noviny” (organ Min. Obr. Nar.). Są to pisma podobne do bratnich organów i trudno o nich coś nowego powiedzieć.

Cena wszystkich dzienników — 1 korona 50 halerzy, numerów świątecznych — 2 korony 50 halerzy.

Poza Pragą ukazuje się 14 pism codziennych: w Bratisławie — 5, w Brnie — 3, w Ostrawie, w Zylinie, Koszycach i Liberecu — po 1. Oczywiście nie mają one nic wspólnego z mulacjami prowincjonalnymi dzienników praskich („Rude Pravo” ma ich aż 16). Są to pisma samodzielne.

Wszystkie dzienniki zawierają sporo przyjemnych dla oka reklam, przeważnie firm państwowych. We wszystkich pismach rubryka programów kinowych obramowana jest ząbkami „łasny filmowej”, co pozwala na natychmiastowe jej odszukanie, bez błędzenia po szpaltach i kolumnach. Wszystkie dzienniki zamieszczają ilustracje, przy czym wydaje się, że podczas gdy technika samych fotografii stoi w Cze-

chosłowacji wyżej niż w Polsce, to same kłisze są mierne.

Oddzielnie należałoby omówić prasę periodyczną, która — na pierwszy rzut oka — jest uboższa i mniej liczna niż u nas. Największym pismem politycznym jest obecnie „Tvorba”. Ilustrowany tygodnik gospodarczo-polityczny „Svet Prace” ma charakter bardziej popularny. Z rozrywkowych największym powodzeniem cieszą się „Kveten” (tygodnik związków zawodowych, przypominający zewnętrznie polski „Przekrój”), „Halal — Nedelne Noviny”, „Vlasta” (magazyn kobiecy), „My 50” (czasopismo młodzieżowe), „Dikobraz” (tygodnik satyryczno-humorystyczny). Ponadto ukazuje się, w formie barwnych broszur, sporo wydawnictw nowelistycznych, powieściowych, młodzieżowych.

Prasa czeskosłowacka nie goni za łaniami sensacją. Przyciąga czytelnika staranną redakcją treści i nie sprzeciwia się pewnym tradycyjnym upodobaniom czytelnika.

Karol Kornik

Do wszystkich naszych Czytelników
zwracamy się z apelem,

aby stali się naszymi prenumeratorem

nowiem

PODSTAWĄ BYTU PISMA

P R E N U M E R A T A

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro”

Warszawa, ul. Mokotowska 43

O. F. Babler

Dobre dzieło Józefa Floriana

Stara Rzesze — oto nazwa małej miejscowości w Południowych Morawach, skąd wyszło to wszystko najlepsze, co czyni wielkim katolicyzm czeski dnia dzisiejszego.

Już dzisiaj w sferę legendy niemal przechodzi postać prostolinijnego i dzielnego tłumacza (przyjaciela i pomocnika Leona Bloy, wydawcy niezliczonych niemal dzieł ducha chrześcijańskiego. — postać Floriana, który jak nikt inny umiał oczyścić świadomość i sumienie katolików czeskich od wszelkich złych naleciałości, który uczył odróżniać prawdę od fałszu i który dawał poprzez przykład własnego życia jasny wzór nieugiętego męstwa i nieprzekupnej sprawiedliwości.

Wydaje się nam historyczną chwilą moment, kiedy Józef Florian urodzony 10 lutego 1873 r., profesor historii naturalnej w szkole średniej w Nachodzie, zachwyił się twórczością Leona Bloy, złożył z siebie nieistotny nagle i uciążliwy obowiązek służby cywilnej i poszukał drogi do Starej Rzeszy.

Tam Józef Florian zabiera się do pracy i walcząc na razie z trudnościami obcej sobie mowy, tłumaczy jedno za drugim dzieła Leona Bloy, w świadomości, że na tej drodze odda sprawiedliwość swojemu ukochanemu i czczonemu mistrzowi. Przy pomocy Boga i nielicznych przyjaciół wydał on te dzieła w należytej formie zewnętrznej i pod zbiorowym tytułem o charakterystycznym brzmieniu „Dobre Dilo” (Dobre Dzieło). Śmiało zaiste i heroiczne przedsięwzięcie, jak na człowieka, który wybrał drogę ubóstwa ewangelicznego i który najmniej mógł liczyć na sukces zewnętrzny własnej pracy.

Plomienne listy, pełne czci, zrozumienia i braterskiego współczucia, poszły rychło do Francji, do Leona Bloy. Ich echo odnajdziemy w wielu miejscach dziennika

i listów Leona Bloy. W sierpniu roku 1906, w sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, doszło do spotkania obu mężów w La Salette. Pisze o tym Leon Bloy w „Invendable”. Przybywa Józef Florian. Postać poważna i bolesna. Twarz chłopca z nad Dunaju o wyrazie męczeńskim. Obejmując go po francusku, nawet w sposób perygordzki, co go widocznie zaskakuje i wprawia w zakłopotanie. Znajduje się w towarzystwie bardzo miłego i młodego księdza morawskiego, który nie mówi po francusku, ale z którym mogą się porozumiewać w języku łacińskim. Józef Florian, jak przypuszczam, również mało mówny w swej ojczyźnie, wyrzekł do mnie ledwie parę słów. „Poco mówić? Wystarczy pisać”, oświadcza mi. Wysłałam listy w języku łacińskim (w łacinie wcale nie kuchennej, raczej — stołu gościnnego) do jego zachwycającego ziomka Józefa Polaka, który porozumiewa się z moją żoną po niemiecku i który tłumaczy oba te języki na czeski dla użytku Józefa Floriana. Wieża Babel w miniaturze, która napełnia przerażeniem naszych sąsiadów... I dalej: Wniebowzięcie. Dzień ładny, najlepszy dla mnie, od godziny 10-tej. Trudność rozmawiania z Florianem nie zmniejsza się. Ten kontemplacyjny człowiek może nie powiedzieć ani słówka w ciągu całych godzin... Po południu przechadzka po górze z naszymi dwoma Czechami. Florian oświadcza, że przybył tutaj dla trzech spraw: pomodlić się do Matki Boskiej z Salette, zobaczyć mnie i służyć Weroniki. Brak fortepianu przeszkadza w spełnieniu ostatniego jego życzenia. Decydujemy, że Weronika będzie śpiewała bez akompaniamentu w miejscu ustronnym. Znaleźliśmy je na zboczach Gargasu. Prześliczna łąka w pobliżu wielkiego stada pasących się owiec. Cudowna godzina w takim otoczeniu! Odjazd naszych dwu Czechów. Odprowadzamy ich możliwie daleko, patrzymy, jak znikają nam z oczu, z uczuciem rozdarcia duszy, tak jakby to było rozstanie na całe życie wśród tego żalnego świata.

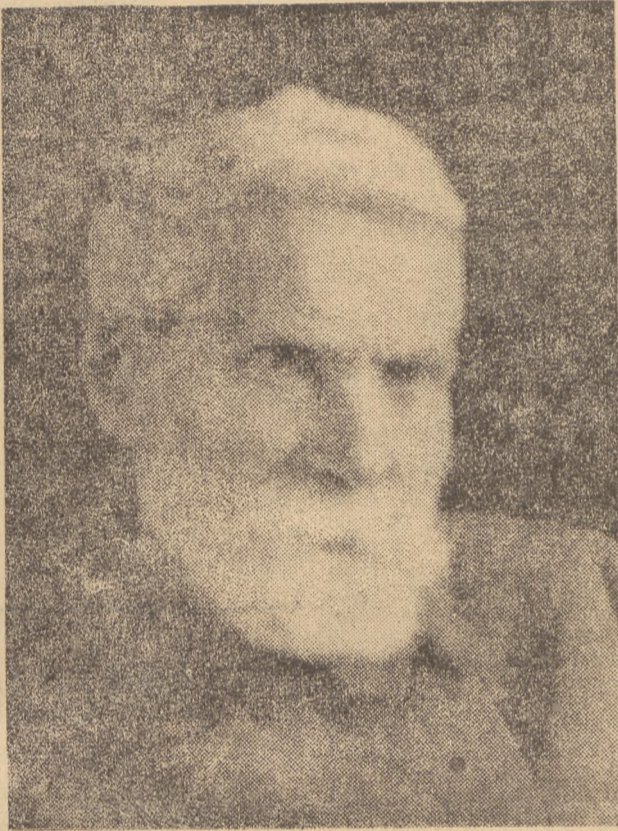
Wpływ osobowości Józefa Floriana, wzmocnionej kontaktem z Leonem Bloy, na współczesnych mu ludzi, był wielki. Niechaj służyć tutaj świadectwa poety. Jakub Deml pisze w swej książce „Audiat et altera pars” słowa następujące. „Nie byłem zdecydowanym katolikiem, ale Józef Florian uczynił ze mnie rzymskiego katolika, chcę powiedzieć: katolika świadomego...”

Pod wpływem Leona Bloy dzieło życiowe Floriana rosło cudownie wzwz. Wspólnie z Jakubem Demlem, później również z Antonim Ludwikiem Strzizem rozpoczął on wydawanie zbiorowych tomów „Studium”. Ukazały się tam w pięknych tłumaczeniach papieskie bulle, dekryty i encykliki, „List Pastorski z La Salette”, „Śmierć Lutra” Karoliny Chabrier Rieder, potem drobne pisma Barbey d'Aureville'ego, Pawła Verlaine'a, Villers de l'Isle Adam, Kamila Lemonnier, Tomasza de Quincey'a, Jean Paula, Rainer Maria Rilkego, Andrzeja Bielego. Również i z literatury polskiej ukazała się niejedna perła w osobnych wydaniach: modlitwy Zygmunta Krasińskiego, opowiadania i „Litania do Matki Boskiej” C. Norwida. Nie brakło w tym wydawnictwie starych drzewory-

tów z pierwszych lat istnienia sztuki drukarskiej, dzieł graficznych Aubrey Beardsleya, Williama T. Hortona, Jerzego d'Espagnata, Felicjana Ropsa, Jerzego Minne'go.

Należało zwalczać niewypowiedziane trudności wydawnicze, a cele, które sobie postawiono, były wysokie nawet jeśli chodzi o zewnętrzne wyposażenie książek: każdy rzemieślniczy szczegół składowy książki miał świadczyć o miłości i sumien-

Na miejsce „Studium”, po ustąpieniu w r. 1912 Jakuba Demla, zakłada Florian nowy periodyk „Nova et Vetera”. W zeszytach tego wydawnictwa ukazali się następujący pisarze: Ernest Hello, Karol Peguy, Rachilde, Demolder, Gilbert Keith Chesterton, Robert Hugh Benson, William Butler Yeats, J. M. Synge, Novalis, Rainer Maria Rilke, Paweł Ernst, Max Mell, Sergiusz Sołowjew, Aleksy Remizow, Zygmunt Krasiński, Julian Tuwim, Z grafików.



Józef Florian.

ności, z jakimi przystępowali do pracy średniowieczni kopiści i iluminatorzy. Forma zewnętrzna nie mogła być wynikiem przypadkowej zachcianki jakiejś drukarni, ale musiała harmonijnie odpowiadać duchowej zawartości dzieła. Niektóre drukarnie poddały się z godną podziwu cierpliwością tego rodzaju wymaganiom i przeszły podczas współpracy przy wydawaniu „Dobrego Dzieła” znakomite przeszkolenie. Pociągnięto do współpracy również i grafików. W początkach Józef Vachal, dość długo niedoceniany oryginalny i głęboki artysta, wyposażył „Krucjatę dzieci” Marcellego Schwoba cudownymi małymi drzeworytami; potem przybył pełen zrozumienia artysta książki Jarosław Benda, któremu ta i owa książka ze Starej Rzeszy zawdzięcza swój wdzięk, Antoni Slaviczek, który przyozdobił „Lilię” Islandczyka Eysteina Asgrimssona ręcznie kolorowanymi drzeworytami (drzeworyty te sprawiły, że druk należy do najczęściej poszukiwanych czeskich druków) i Józef Czapek, którego prymitywne winiety do powieści Francis Jammesa „Powieść o zającach” tworzą chyba największe jego arcydzieło graficzne. Również i niemieccy graficy zostali zaproszeni do współpracy: wykwinny Karol Schwetz m. in. przyozdobił ślicznymi rysunkami „Flos sanctorum” Severiano da Rezendesa.

Wiele jeszcze dałoby się powiedzieć o wydaniach książek Józefa Floriana. Poprzestańmy tutaj na przytoczeniu jego tezy podstawowej, która mocno odbija od postawy wszystkich przeciętnych bibliofilów: „Moje książki nie chcą być pięknymi drukami, ale ich druk powinien być piękny”.

których dzieła — obok okazów dawnego inkunabułowego drzeworytnictwa — ukazały się w wydawnictwie w osobnych reprodukcjach, dołączonych do wydawnictwa, należy wymienić następujących: Józef Vachal, T. F. Szimon, Antoni Slaviczek, Jozef Marek, Włodzimierz Szindler, Cezar Klein, Józef Eberz, Jerzy Gross, Wincenty van Gogh, Teodor Spicer-Simson, Mikołaj K. Roerich, Batiły Milioti, Aleksander Benua.

Jednak dla istoty pracy Floriana wydają się najwięcej charakterystyczne bibliograficzne dodatki do „Nova et Vetera” pt. „Źródła”. Zwiążły uwagi krytyczne, niezwykle rzeczowe i treściwe, wystarczyłyby same, aby dostatecznie scharakteryzować Floriana jako krytyka wielkiej miary, o niecodziennej przenikliwości i dostojnej bezstronności. Sto kart „Źródła”, zwanych niekiedy „Agendami”, to wszystko, co wchodzi w zakres osobistego działania Floriana w słowie w ciągu ćwierci wiecza. Wszystko pozostałe, co tworzy jego wielkość, jest jego życiem i czynem w Starej Rzeszy.

Po serii „Nova et Vetera”, która osiągnęła liczbę stu numerów, zaczął Florian wydawać serię „Kursy”, która przyniosła m. in. trzy książki o Napoleonie (Józef Florian był śladem swego mistrza Leona Bloy gorącym czcicielem wielkiego cesarza), dwa tomy o Dancie Gabrieli Rossetti, dzieła Blanca de Saint-Bonnetia, H. Massoula, Romano Guardiniego, Szestowa. W tejże serii wyszedł „Wstęp do nowego ćwierćwiecza Dobrego Dzieła”, w którym Albert Vyskocil zebrał wszystkie wartościowe świadectwa współczesnych o Florianie; w pracy tej

Antoni Macek, bibliofil Miłos Klicman i młody poeta F. A. Springer wraz z czynnymi współpracownikami „Dobrego Dzieła” (Jarosławem Durychem, A. Strzizem i A. Vyskorilem) wyrażają jednogłośnie swój podziw dla Starej Rzeszy.

Dalszym ciągiem serii „Nova et Vetera” są „Archy” („Arkusze”). Kontynuacja dawnych wielkich wydawnictw „Dobrego Dzieła”, pism św. Hieronima, dzieł Grignon de Montforta, listów św. Katarzyny Sieneńskiej, są znakomite pisma: „Józef i Aznech”, utwór staroczeskiej poezji, który odnalazł swego czasu Józef Dobrowski w praskim kościele franciszkanów, zilustrowany przez grafika niemieckiego Alberta Schamoniego, „Zabójstwo jako sztuka” Tomasza de Quincey'a i trzy książki, traktujące o Annie Katarzynie Emmerich.

Wspomnijmy tutaj — obok innych rzeczy godnych podziwu — o ręcznej prasie drukarskiej, na której dzieci Józefa Floriana wytoczyły w Starej Rzeszy trzy atrakcyjne druki: „Carlos i Nicolas” R. J. Chmieda, „Wigilijny wieczór” wielkiego czeskiego baladopisarza K. Jar. Erbena i „Śmierć Igora” Juliusza Zeyera; wszystkie te druki wykonano z pieczołowitością i troskliwością; przyozdobił je graficznie Michał Florian; ręcznie kolorowane drzeworyty do ostatniego utworu można uważać za arcydzieła najszlachetniejszej sztuki książkowej.

Różnorodne i głębokie jest oddziaływanie dzieła Józefa Floriana na grupę czeskiej elity katolickiej. „Gdyby nie dokonał w Starej Rzeszy swego „Dobrego Dzieła” — pisze o nim dalej Jarosław Durych — powstałoby wśród nas daleko więcej błędów, daleko więcej niezgod; byłoby potrzeba błogosławionej pracy wielkiej ilości ludzi, aby zbudować przynajmniej szkielet tego świata, który Józef Florian, sam, jako poeta, w najpiętniejszym znaczeniu tego słowa, dźwignął i umocnił, kładąc weń skarby przeszłości, dając mu z własnego ducha swoiste formy dyscypliny i wspaniałości, surową i zobowiązującą regułę władczą”.

Florian był jednym z tych ludzi, którzy w żywym kształcie zachowują dla przyszłości odwieczne prawdy, doświadczenie dawno już zmarłych generacji ludzkich. Wielu młodych ludzi pielgrzymuje w dosłownym lub przenośnym tego słowa znaczeniu do Starej Rzeszy, pielgrzymuje do tego „Dobrego Dzieła”, stworzonego — aby zamknąć te wywody słowami Leona Bloy — przez „jednego z rzadkich spadkobierców chrześcijaństwa”.

Józef Florian zmarł w końcu roku 1941, pozostawiając potomnym dzieło bogate i inspiratorskie. Jego wpływ na kilku ugrupowań intelektualnych jest zawsze żywy. Reprezentują te ugrupowania w okresie międzywojennym pisma „Rozmach” i „Akord”, które zgrupowały u siebie uczniów Józefa Floriana generacji średniej (Jarosław Durych, Albert Wyskocil i in.) oraz pisma „Tvar” („Forma”) i „Rad” („Porządek”), które zgrupowały starszych; z biegiem czasu stały się one poważnymi autorami (Jan Czep, Jan Zahradniczek, Tymoteusz Vodiczka, Franciszek Lazeky, Waclaw Rene i in.).

O. F. Babler

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI

„DZIS I JUTRO”

SP. WYD. „PAX”

WYSYLA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CORY
KROLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATE
ZŁOTYCH 750z EGZ.
NA KONTO PKO I-8515

LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

Julia Dutkowska-Fischerowa

GARŚĆ WSPOMNIENIŃ O ALOJZYM JIRASKU

(Z historii przekładów czeskiego klasyka na język polski)

W jasną niedzielę 16 marca 1930 r. żegnał naród czeski zwłoki mistrza Alojzego Jiraska. Niepokojna, zdyszana Praga wstrzymała bieg swój, a ulicami jej sunął z Pantheonu olbrzymi kondukt pogrzebowy z przedstawicielami rządu, najwyższych zakładów naukowych, z najwybitniejszymi pisarzami, z deputacją pułku Jiraska.

Na ulicach płonęły światła przyziemione kirem, a pod nimi tysiące głów ludzkich. Przybyli tu i z najdalszych krańców Republiki, ażeby ujrzeć trumnę z drogimi zwłokami i oddać hołd wielkiemu Zmarlemu. Cały naród czeski brał udział w tej smutnej uroczystości, bo i ci, którzy nie mogli tu przybyć, duszą i sercem zbolalym szli za trumną.

Jirásek należało do tych nielicznych pisarzy, którym już za życia stawia naród pomniki i składa liczne dowody miłości swej i hołdu: oto istnieje Gimnazjum imienia Jiraska w Pradze, gdzie przez wiele lat uczył jako profesor historii i geografii. 30-ty pułk piechoty imienia Jiraska, uroczystości Jiraskowe w „Obecnym domu” w Pradze w r. 1921, fundusz Jiraska, ustanowiony przez radę miasta Pragi, ogólnonarodowe uroczystości Jiraskowe w Hronowie w r. 1921, pamiętamy triumfalną podróż Jiraska przez Słowację, wreszcie odwiedziny prezydenta republiki czechosłowackiej, T. G. Masaryka w Hronowie w r. 1926, a w roku 1927 udekorowanie Jiraska czechosłowackim rewolucyjnym medalem.

Jirásek wrósł w serce narodu i wzbudził w nim miłość i uwielbienie nie tylko dlatego, że w dziełach swych uniesmiertelniał dawny blask jego i sławę, ale przede wszystkim dlatego, że niezłomnie i bez przerwy budził w narodzie wiarę w odrodzenie i świetną przyszłość ojczyzny i hart ducha w sercach braci swoich nie tylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami.

Nazwisko Jiraska łączono niejednokrotnie z nazwiskiem Sienkiewicza, stawiając ich obok siebie, jako dwóch pokrewnych sobie duchem przedstawicieli współczesnej literatury bratnich narodów.

Kiedy jednak łączymy z sobą te dwa wielkie nazwiska, nie zapominajmy o dacie powstania dzieł Jiraska. Piszę to, ponieważ wiem, jak niemiłe dotknęła go pewna wzmianka w jednej z polskich recenzji o moim przekładzie „Maryli”. Krytyk, który o tym dziele Jiraska wyraził się z entuzjazmem, a także przekład ocenił zyczliwie i pochlebnie, napomknął, że w „Maryli” zaznacza się wyraźnie wpływ Mickiewicza, a widać też odbłyśki z Sienkiewicza. Na to otrzymałem od Jiraska list z 6 lutego 1928, w którym mi pisze: „Zainteresowała mnie bardzo ocena „Maryli”. Pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę na to, w czym się krytyk myli. Sienkiewicz nie miał na mnie w ogóle żadnego wpływu, a więc i na moją „Marylę”, którą pisałem przed 40 laty (w r. 1884). Wtedy jeszcze żadnego dzieła Sienkiewicza nie znałem ani nie jeszcze o Sienkiewiczu nie słyszałem. Gdzie więc krytyk te „odbłyśki” z Sienkiewicza wyczuł w „Maryli” — nie pojmuję...”

Nie mam zamiaru pisać tu o życiu i twórczości Jiraska, pisano już o tym obszernie, chcę jedynie podać garść osobistych wspomnień o Jirasku, jako dowód jego nadzwyczajnej uprzejmości i skromności.

Kiedy przekładałam „Marylę”, nie znałam osobiście jej autora. Pozwolenie na mój przekład otrzymałam za po-

średnictwem dr. Józefa Svitila-Karnika*).

Zanim wyszedł mój przekład „Maryli” i zanim mogłam go posłać Jiraskowi, otrzymałam od niego najnowsze wydanie tego dzieła wraz z niezmiernie uprzejmym listem, odsłaniającym do głębi szlachetność tej wielkiej duszy.

A nie był to jedyny list i jedyna książka od Niego. I muszę tu zaznaczyć, że nie trzeba było długo czekać na odpowiedź Jiraska. Książki, które przysłał w podarunku, sam adresował i przekazywał własnoręcznie wypełniał, a za udzielenie autorskiego prawa na przekłady swoich dzieł na język polski, nie przyjmował honorarium.

Kiedy wysłała „Maryla” w języku polskim, posłałam egzemplarz mego przekładu Jiraskowi. Otrzymałam list pełen serdeczności.

Szanowna Pani!

Proszę przyjąć moje serdeczne podziękowanie za list i egzemplarz „Maryli”, które Pani bardzo dobrze i pięknie przełożyła na swój ojczysty język. Sprawiała mi Pani wielką radość, za którą jestem Jej szczerze zobowiązany. Zwłaszcza cieszyłoby mnie, gdyby się spełniło, o czym Pani pisze, mianowicie, że książka o „Maryli” będzie miała dobry wpływ wśród rodaków Pani na zbliżenie się i zgodę czesko-polską. Jestem gorliwym zwolennikiem tej zgody, tak jak od swej młodości byłem gorącym wielbicielem sławnej literatury polskiej. Mam jedną uwagę, którą mi może nie weźmie Pani za złe, żeby zamiast naszej „tvrz” lepiej było „twierdza” albo „kasztel”; ponieważ dwór jest folwark, który był przy twierdzy. Domkowska twierdza miała swój gospodarczy dwór. Ale to jest drobnostka, którą zauważy jedynie autor a myślę, że Szanowna Tłumaczka wybacz mi tę uwagę.

Ucieszyło mnie, że w przekładzie widzę woźnego, jak trafnie przetłumaczyła Pani „komornika” sądowego. Przypomniał mi woźnego z Pana Tadeusza! Jeszcze raz serdeczne dzięki, Szanowna Pani, za Pańin przekład i łaskawość.

Proszę mi darować, że tak późno piszę. Wciąż choruję a i mój wzrok nie służy mi tak, jakby miał służyć.

Z głębokim szacunkiem

oddany

Alois Jirásek.

Tym listem niezwykle doniosłym dla mnie, tą pochwałą i zadowoleniem z mojego przekładu wyrażał Jirásek i pogląd swój na zadanie tłumacza pięknej literatury: Pozostawia mu swobodę wyrażania myśli autora swoimi słowami, zwłaszcza w partiach, gdzie tego wymaga pewna odrębność języków, nawet tak pokrewnych jak język polski i czeski. I nie uważa ani za ujmę wierności przekładu, ani za niedozwolone skrócenia i zmiany, jeśli tłumacz czasem i kilka zdań wyrazi jednym dłuższym zdaniem, albo znów jedno zdanie musi zastąpić dwoma, aby mógł wiernie oddać myśl autora.

Zachęcona, powzięłam myśl tłumaczenia „Psiogłowców” i w tej sprawie napisałam do Autora.

W odpowiedzi otrzymałam list następującej treści:

W Pradze 1 grudnia 1928.

Szanowna Pani!

Z przyjemnością przeczytałam Pańin list z dn. 28.11. Z ochotą zezwalam aby Pani przetłumaczyła Psiogłowców na język polski. Miłe zapisał mi się w pamięci Pańin piękny przekład „Maryli”, więc cieszę się na

„Psiogłowców” w polskiej szacie. Po nowym roku znacznie ta powieść wychodzić w zeszytach. Gdziekolwiek znajdzie się w tym wydaniu nowym jakaś drobna poprawka, ale nigdzie niema znaczniejszych zmian. Można zaleć przekładać z poprzedniego wydania, ale postaram się posłać Pani czy też posłać po mniejszych częstokach nowe wydania, które zaczną drukować.

Powieść ta ukazała się w przekładzie polskim M. Wyslouchowej przed dwudziestu laty (1902). O ile się nie mylę, przekład ten jest miejscami skrócony, ale dzisiaj już nie wiem nic pewnego. Szanowna Pani napewno przełożyła całe dzieło bez zmian. Chodźkiego narzeczka nie można w przekładzie uwzględnić. Najlepiej więc zastąpić je językiem literackim, tak jak to uczyniono w przekładach na inne języki. Dziękuję Szanownej Pani za przychyłność okazaną „Psiogłowcom” i pozostaje z wyrazami prawdziwego szacunku

oddany

Alois Jirásek.

Znowu serdecznym listem powierzył mi Jirásek z pełnym zaufaniem przekład swego najlepszego dzieła: „Psiogłowcy”.

W lutym otrzymałam od Jiraska drukowaną korektę najnowszego wydania „Psiogłowców” wraz z listem z 31 stycznia, a w kwietniu — już gotową książkę i list następującej treści:

(I wyd. s. 95); „Odebrałem tylko depe-
szę...” (VI. s. 220), zam. „Odebrałem
tylko pa ni depezę...” (I wyd. s. 132);
„Gdy by pa ni go mogła widzieć...” (VI.
s. 226), zam. „Gdyby pa ni mogła go
widzieć...” (I wyd. s. 146).

Razem z dwiema poprzednio ogłoszonymi, w których ukazałem przykłady błędnej metody wydawniczej, znajduję 12 wyraźnych usterek na 75 stronicach druku. Czy redaktor „Dziel” zdecyduje się podnieść domniemany przez siebie odsetek błędów w swojej edycji zbiorowej? I czy uwierzy nareszcie w pełne prawo sprawozdawcy do uznania jego przedruków za „nie rzadko mniej staranne”? W innym wypadku byłbym naprawdę niepokojony.

4) Te uwagi prowadzą już bezpośrednio do ostatniego zarzutu luminarza krajowej historii literatury, w którym próbuje on podważyć opinię sprawozdawcy o „ograniczonych wymaganiach własnych”, nadspodziewanie, niesłusznie, ujawnionych w pracy nad przygotowaniem tekstów nowel. Nie ma jednak nie do powiedzenia na swoją obronę, czemu by nie przeczyły fakty. I dlatego znów rozszerza zgrabnie płaszczyznę dyskusji i pozwoluje się na swoje poprzednie, istotnie chlubne akademickie prace edytorskie i szczęśliwą jakoby rękę do pewnych odkryć z zakresu tekstów sienkiewiczowskich. Cóż jednak ma piernik do wiatraka? Nikt tutaj przecież nie neguje jego zasług i ogromnej kompetencji w zakresie tekstów staropolskich ani wybitnej pozycji w naszej wiedzy o literaturze. Czy to jednak przesądza samo przez się o jego kompetencji w zakresie tekstów sienkiewiczowskich? B. przekonywająco jej przeczą liczne tomy nowel. Czy zaś te znów osiągnięcia, z których (jak przy „Krzyżakach”) redaktor „Dziel” nie bezpodstawnie jest dumny, świadczą o niej bez zastrzeżeń? Niestety, mam ich więcej niż ogłosiłem. Skąd te zastrzeżenia się biorą, skoro, jako żywo, nie widziałem nigdy z bliska tych materiałów, którymi redaktor „Dziel” rozporządzał? Czy więc w wyniku „telewizyjnych uzdolnień”,

W Pradze, 8 kwietnia 1929.

Szanowna Pani!

„Psiogłowcy” wychodziły w zeszytach, teraz wyszły jako książka. Pozwalam sobie przesłać Pani jeden egzemplarz i proszę, aby go Pani przylęła na pamiątkę, jako dowód szacunku. Niechże mi wolno wyrazić jak mnie cieszy i jak to sobie cenię, że ta książka moja zyskała Pańiną przychyłność.

Polecam się, Pani

z wyrazami prawdziwego szacunku
oddany
Alois Jirásek.

Dnia 5 stycznia 1930 r. odwiedziłam Jiraska w jego mieszkaniu w Pradze przy ul. Resslowej.

W dłuższej przyjaznej rozmowie o przekładzie „Psiogłowców” podkreślił swój pogląd, że żadna gwara nie może zastąpić pięknego narzeczka chodźkiego, należy więc w całym przekładzie słysować język literacki.

Dziękując mi za przekład „Maryli” wspominał i o recenzji z „Prawdy”, o rzekomych „odbłyśkach z twórczości Sienkiewicza” i z widocznym zadowoleniem przyjął wiadomość o moim zamiarze napisania słowa wstępnego do „Psiogłowców” i sprostowania w nim mylnego mniemania krytyka.

Potem pytał mnie o Polskę, o Kraków, Wawel, Barbakan, Bramę Floriańską, Sukiennice i Kościół Mariacki. Miłe wspominał swój pobyt w Krakowie i w Zakopanem, wreszcie rozmowa przeszła na literaturę polską i na sławnych pisarzy polskich.

„Najmilszym z nich i najbliższym memu sercu był zawsze i jest Wasz wielki Mickiewicz. Jego „Pana Tadeusza” czytałem niezliczoną ilość razy w oryginale i w pięknym przekładzie Elżki Krasnohorskiej oraz w przekładach na inne języki. Zazdroszczę Wam, chociaż równocześnie cieszę się, że także arcydzieło macie w swej literaturze”.

Głęboko wzruszona opuszczałam mieszkanie Jiraska. Dwa różne uczucia przepelniały moje serce: uczucie wielkiej wdzięczności a równocześnie i dziwny smutek, jakby przeczuć jakieś, że Mistrz Jirásek niedługo odejdzie tam, skąd nikt nie wraca. Ani sława, ani miłość i uwielbienie narodu nie zdola odsunąć od niego nielitościwej dłońi śmierci.

I nie omyliły mnie moje przeczuć! W dwa miesiące później, dnia 12 marca 1930 r. przestało bić to wielkie serce, które tak gorąco ukochało naród swój i ojczyznę.

Julia Dutkowska-Fischerowa

Jeszcze o wydaniu Sienkiewicza

(dokończenie ze str. 4)

które mój oponent zjadliwie mi przypisuje? W znacznie prostszy sposób: na podstawie rzeczowej analizy wspomnianych osiągnięć edytorskich wydawcy, rozpatrywanych w oparciu o jakieś oswojenie się z tekstami sienkiewiczowskimi i podobną znajomość szczegółowych potrzeb w pracy nad nimi. Czyżby jednak na ich nabycie potrzeba było okresu czasu dłuższego niż trzydzieści?

Chyba jednak tak? Nowy na to dowód daje mi inny szczegół wywodów mego polemisty. Redaktor „Dziel” nawiązał tu mianowicie do uwagi sprawozdawcy o długiej tradycji „obcej ręki” w tekście „Krzyżaków”. Mniejsza w tej chwili o to, że broni się dziś przed domyślnym zarzutem zignorowania tych śladów w powieści, mimo że sam je dostrzegł w wyniku własnej analizy źródeł i zaznaczył o tym w „uwagach wydawcy” (XXVI, s. 251). Obecnie chodzi mi o to, w kim szuka właściciela owej ręki tajemniczej. Przypomina sobie bowiem wyniki drobnej pracy sprzed lat piszącego te słowa, którą co dopiero usiłował zbagatelizować, i wymienia nazwisko Dionizego Henkiela. To nazwisko miałoby istotnie łączyć z wielce prawdopodobnymi śladami „obcej ręki” w tekście pierwszego wydania zbiorowego i mój polemista wiaien był o nim pamiętać przy pracy nad tekstami nowel. Ale bynajmniej nie dotyczy „Krzyżaków”. Tutaj trzeba by szukać innej ręki. Ale czyje? Może kiedyś wydawca sam ją ustalił i rozpoznał? Wobec licznych przejawów jego arogancji filologicznej nie myślę mu tego ułatwić.

I oto dobiega końca odpowiedź programowa sprawozdawcy na repli-

Wiktor Doda

**POPIERAJCIE
KATOLICKI
UNIwersytet LUBELSKI**

*) Znany poeta czeski (pisze pod pseudonimem „Jan Karnik”) odznaczony niedawno w Polsce medalem zasługi za znakomite przekłady poezji polskiej na język czeski.

Erich Sojka

Polskie przekłady w dzisiejszej Czechosłowacji

Wspólna droga, którą dążą oba nasze narody do wspólnego celu, stanowi dla nas nie tylko okazję, lecz jest po prostu obowiązkiem wzajemnego zapoznawania się i pogłębiania naszych stosunków we wszystkich dziedzinach życia. Dziś po pięciu latach od ukończenia wojny możemy z czystym sumieniem stwierdzić, że nasze zbratanie się nie jest sprawą formalną, nie jest grą dyplomatyczną czy polityczną, jak by to nam chętnie chcieli wmówić przedstawiciele



Erich Sojka.

wej i innych) kształci się wielu zdolnych młodych pracowników, którzy te zadania wypełniają.

Wśród dotychczasowych tłumaczy bezwzględnie najzdolniejszym był (niestety był, bo zmarł w listopadzie 1949 r.) Franciszek Halasa, jeden z najwybitniejszych poetów czeskich. Przetłumaczył on przy pomocy polonisty czeskiego Józefa Matousa wszystkie części „Dziadów”, „Grażynę” i „Konrada Wallenroda” Mickiewicza. (wyd. Melantrich 1947); po jego śmierci ukazała się „Balladyna” Słowackiego (wyd. Československý spisovatel 1949) — a chyba ukaże się jeszcze „Lilla Weneda”. Halasa za swe przekłady odznaczony został orderem „Polonia Restituta” oraz złotym medalem PEN-Clubu polskiego.

Współpracownik Halasa Józef Matous wydał prócz tego własny przekład „Anhellego” (wyd. Pohorely, Praha 1946).

Z Mickiewicza ukazały się jeszcze „Sonety Krymskie” oraz „Farys” w przekładzie Wacława Renca (Vysehrad, Praha 1947) i „Trybuna ludów”, którą przetłumaczył Wacław Burian (Svoboda, Praha 1949).

Poezję współczesną tłumaczy poeta czeski Jan Pilar oraz Jarosław Zavada. Pilar przetłumaczył dotychczas antologię poezji wojennej i okupacyjnej „Z lat wojny” (Borovy, Praha 1947), wybór wierszy Tuwima (Svoboda, Praha 1949) i przygotowany ma tom poezji Gałczyńskiego. Prócz tego prze-



Helena Teigova.

tłumaczył trzy książki dla dzieci: Brzechwy „Kaczkę, dziwadzkę” oraz „Tańcowała igła z nitką” i H. Bielińskiej „Halo, halo!”

Jarosław Zavada opublikował wybór wierszy Leopolda Staffa pt. „Tragiczna falanga” (Smidt, Praha 1948) i pracuje nad dużą antologią poezji polskiej.

Z beletrystyki przetłumaczyła najwięcej utworów (17) Helena Teigova, zasłużona przedwojenna pracowniczka na tym polu. Przetłumaczyła ona po wojnie: Andrzejewskiego „Noc”, „Ład serca” i „Popiół i diament”, Brandysa „Miasto niepokonane”, Gojawiczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipki”, „Kratę” i „Rajską jabłoń”, Kruczkowskiego „Kordiana i chama” i „Odwety”, Kuncewiczowej „Cudzoziemkę” i „Klucze”, Li-tauera „Zmierzech Londynu”, Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau”, Prusa „Lalkę”, Putramenta „Rzeczywistość”, „Stare i Nowe” L. Rudnickiego i antologię

polskich nowel. W druku jest jej tłumaczenie „Płomieni” Brzozowskiego i „Faraon” Prusa. Prócz tego przetłumaczyła Helena Teigova kilka sztuk teatralnych, które nie zostały drukowane i mnóstwo drobniejszych opowiadań, publikowanych w różnych czasopismach oraz przez radio.

O wiele mniej tłumaczyła reszta tłumaczy. Erich Sojka (który, niestety, będąc autorem tego artykułu jest zmuszony pisać o sobie) przełożył dotychczas cztery książki: Fika „Rodowód społeczny literatury polskiej”, Prusa „Pałac i rudere”, Żeromskiego „Ludzi bezdomnych”, Wasilewskiej „Ojczyznę” oraz szereg wierszy i krótszych opowiadań dla prasy i radia. W druku albo w przygotowaniu są: Wasilewskiej „Płomień na bagnach”, Fika „20 lat literatury polskiej”, Orkana „Komornicy” i Jastruna „Mickiewicz”.

Trzy książki przetłumaczyła Zdenka Galasova-Brdlikova. Są to: Boguszewskiej „Całe życie Sabiny”, Wasilewskiej „Pokój na poddaszu” oraz „Prawo jesieni” Rusinka.

Anetta Heczko - Balajko przetłumaczyła dotychczas „Jezioro Bodeńskie” Dygata i „Pawie pióra” Kruczkowskiego. Prócz tego dużo opowiadań i fragmentów dla czasopisma „Literární noviny” i „Nove Polsko”, organu Polskiego Biura Informacji w Pradze czeskiej, gdzie była Balajko zatrudniona.

Rudolf Kozak przełożył Jerzego Kirchmayera „Kampanię wrześniową” oraz książkę „Ludzie pierwszej armii” i Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”.

Również Jarosław Janouch przetłumaczył dwie książki: „Krzyżowców” Szczuckiej i „Krzyżaków” Sienkiewicza. Tytuły obu książek brzmią w czeskim przekładzie jednakowo: „Krizáci”.

Dr Józef Becka przetłumaczył „Tak było” Jacka Wołowskiego oraz pracę dra Mariana Szyjkowskiego, profesora polonistyki na uniwersytecie Karola w Pradze.

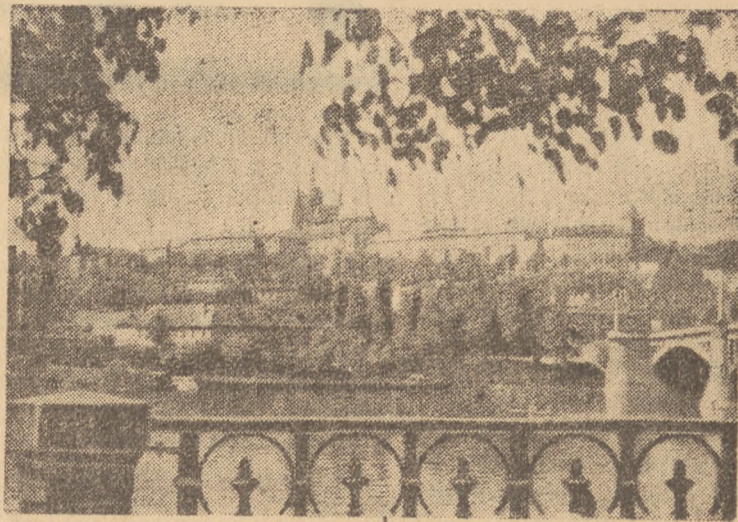
Jana Viktora tłumaczy w Czechosłowacji Adolf Gajdos. Dotychczas z prac tego autora wyszła „Orka na ugorze” i „Skrzydlaty mnich”.

Bardzo zdolny tłumacz Józef Rumler wydał dopiero jedną książkę, a mianowicie Żeromskiego „Wienną rzekę” (druga, Pytlakowskiego „Fundamenty” jest właśnie w druku), ale to tylko dlatego, że przez dłuższy czas siedział nad przekładem „Pana Ta deusza” Mickiewicza, który jest już niemal przygotowany do druku. Wydaje się, że Rumler naprawdę dorósł do tego, by kontynuować pracę zmarłego Franciszka Halasa.

Po jednej książce przełożyli dotychczas: Vsevolod Panek (Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu”), Ruzena Schwarzowa (Szczuckiej „Legnickie pole”), Jan Jenik (Meissnera „Zadło Genowefy”), Jarmila Minarikova-Soldanova (Wasilewskiej „Oblicze dnia”) oraz Fr. Gawrecki (Iwaszkiewicza „Stara cegielnia”).

Jak już powiedziano wyżej, są to dopiero początki. Wiele zadań jeszcze czeka na realizację. Pracy tej podejmie się szereg młodych tłumaczy, których krótsze przekłady można już czytać w różnych czasopismach i dziennikach. Książka polska jest bardzo

Piękno Pragi Czeskiej



popularna. Niektóre z dotychczas wydanych przekładów pokazały się już w kilku wydaniach („Dymy nad Birkenau” Szmaglewskiej, „Kraty” Gojawiczyńskiej, „Tak było” Wołowskiego itd.). A więc można powiedzieć, że wymiana

wartości kulturalnych, a mianowicie z zakresu literatury, między Czechosłowacją i Polską będzie w przyszłości bardzo mocnym czynnikiem w pogłębianiu naszych braterskich stosunków.

Erich Sojka

Jan Karnik

Tłum. M. J. Kononowicz

Praski motyw (U św. Józefa)

Zmasz współdzwięk tajemnic i świętych wieczorów
w cieniu staroniejaskich uliczek,
gdzie stare drzewa, sterczące w półmroku,
milsząco strzegą skarbów ukrytych?

Gdy dusza twa cierpieniem biczowana,
ukłękni przed ołtarzem kościoła,
gdzie święty czeka z wieczora i z rana,
Zbawienie świata tuląc w ramionach.

Tam zgiełk ulicy nie ozwie się echem
od wiązań stropów, od wgłębień nisz —
tylko woń modlitwy ku górze pnie się
pod przezroczystą pieczęcią ciszy.

Tam w krwi czerwonej światła wiecznego
i w śnieżnobiałej zorzy świętości
żarem miłości biednej zagrzej serce,
aż ze swej łaski Pan cię ugości.

Czytajcie

„Słowo Powszechne”

T Y D Z I E Ń

PISZĄC o sprawach, którym to już niejako z urzędu nadaje, czy powinno nadawać, środowisko literackie Poznania, zaczynać trzeba przede wszystkim od tradycyjnych „Czwartków literackich”. Raz dlatego, że jest tu naprawdę o czym pisać i czym się chwalić, dwa zaś z tej racji, że zawsze lepiej zacząć od pozytywów, a wszelkie czarne myśli zachować na koniec...

„Czwartki literackie” w Poznaniu bodaj czy nie należą do najciekawszych i najlepiej organizowanych w Polsce. Konkurować by z nimi mogło chyba tylko środowisko pomorskie, w Bydgoszczy i Toruniu niesłychanie żywo prowadzące akcję odczytową na wysokim poziomie.

W ostatnim okresie gościli w Poznaniu prof. Juliusz Kleiner, prof. Stanisław Kolbuszewski, Jan Brzoza, Wojciech Natanson, Jan Parandowski, Wojciech Zukrowski. Honory domu niejako pełniła Kazimiera Illakowiczówna.

Przyjazd Prof. Kleinera był nielada rewelacją dla Poznania. Gdy do tego się doda frapujący i aktualny temat prelekcji o Słowackim, nie zdziwi nikogo fakt, że zarząd Związku z góry musiał zrezygnować z myśli pomieszczenia słuchaczy w normalnej sali „czwartkowej” (około 500 osób), i wejść w porozumienie z Uniwersyteciem Poznańskim, aby wspólnie zorganizować wieczór w olbrzymiej auli uniwersyteckiej. I ta sala okazała się za mała. Ponad dwa tysiące osób napelniało ją po brzegi, a wielu ehętnych musiało odejść z braku miejsc. I niech mi kto powie, że nie ma zainteresowania literaturą!

Słynny historyk literatury polskiej mówił na temat „Sztuka poetycka Słowackiego”. Ale jak mówił! O tym, jak Kleiner zna Słowackiego, nie trzeba mówić. Ale znać, to jeszcze mało. Oprócz tego trzeba kochać, trzeba czuć tą wielką poezję — wtedy dopiero można o niej tak mówić, jak mówił prof. Kleiner.

Po wieczorze Przedstawiciele Uniwersytetu i Związku Literatów wspólnie podejmowali niedawnego Jubilata lampką wina. I wspólnie podziwiali jego niesłychaną żywotność.

Wojciech Natanson, który już nie pierwszy raz gości w Poznaniu, ma z góry przychylnie nastawioną do siebie publiczność, której zawsze potrafi przedstawić coś nowego i ciekawego. Ostatni odczyt jego pt. „Balzak i rok balzakowski” w nowy i odkrywczy sposób przypomniał nam sylwetkę genialnego twórcy „Komedii ludzkiej”, jego znaczenie dla Polski, związku jego życia i dzieła z naszym krajem, przedstawił rolę prozy balzakowskiej w dziejach myśli ludzkiej, naświetlił problem jej aktualności i przyszłości. Natanson w bardzo żywy i przystępny sposób poruszył też i wiele innych kwestii związanych z Balzakiem, na ogół mało komu znanych. Tak naprzykład naświetlił rozmowę Balzaka z Mickiewiczem, przeprowadził porównanie jego twórczości z naszym Prusem itd.

Profesor Kolbuszewski wystąpił z nieźniewnie interesującą próbą ukazania „Romantyzmu w świetle metody marksistowskiej”. Obiektywna, głęboka analiza stosunku marksizmu do romantyzmu w literaturze wykazała nietrafność pewnych sądów, jakoby marksizm przekreślał osiągnięcia romantyzmu. Zdobycze i osiągnięcia literatury tego okresu są nieśmiertelne, a jedynie właściwa ich interpretacja z punktu widzenia dialektycznego pozwoli walory zdobywcy romantycznych odpowiednio naświetlić i zużytkować.

Jan Brzoza, autor głośnych przed wojną i dzisiaj „Dzieci”, wystąpił

z wieczorem autorskim, na którym odczytał kilka z ostatnich swych opowiadań, związanych z terenem Śląska.

Profesor Jan Parandowski mówił o „Alchemii słowa”. Sala „Odrodzenia” nie mogła pomieścić słuchaczy. Głęboka, błyskotliwa analiza zjawisk literackich, wypowiedziana do tego z pełną znajomością także i „alchemii” słowa mówionego, była niezapomnianym przeżyciem dla większości słuchaczy.

Ostatnio też nareszcie doczekaliśmy się publicznego występu w Poznaniu stałej jego mieszkanki, Kazimieri Illakowiczówny. Wprawdzie należało żałować, że poetka nie wystąpiła z próbkami własnej ostatniej twórczości, niemniej wieczór, poświęcony wspomnieniom z Węgier i zetknięcia się z twórczością wielkiego węgierskiego poety Ady’ego, zarysowany z niesłychaną plastyką, pełną poetyczności, urozmaicony odczytaniem szeregu doskonałych własnych przekładów z wierszy Ady’ego — należał niewątpliwie do najbardziej udanych w ostatnim okresie.

Przebywający ostatnio często w Poznaniu Wojciech Zukrowski, mówił z nadzwyczajną swadą o sobie — „Jak zostałem pisarzem”. Ciekawa była ta droga twórczości. A ubarwiony opis jej wspartałymi, błyskotliwymi i pełnymi dowcipu powiedzonkami prelegenta, sprawił, że przepelniająca salę publiczność (przeważnie płci żeńskiej) długimi, raz po raz wybuchającymi seriami śmiechu przedłużała przewidzianą na trzy kwadransy prelekcję niemal do dwóch godzin. I cóż się potem dziwić, że w księgarniach poznańskich zabrakło następnego dnia egzemplarzy powieści Zukrowskiego...

W najbliższym czasie między innymi przewidziane są „czwartki” Jerzego Kollera, Tadeusza Borowskiego, Leopolda Lewina.

Drugą pomyslnie udającą się imprezą literacką Poznania są już bardziej wewnętrzne, comiesięczne spotkania środowiska pisarzy poznańskich przy czarnej kawie we własnym domu przy Noskowskiego. Pomysłane jako impreza zbliżająca do siebie członków środowiska, wbrew sceptycyzmowi niektórych, utrwaliły się, i o dziwo, tak zawsze niesłowni i niepunktualni literaci zjawiają się na nie niemal w komplecie. Ostatnie dwa spotkania miały w swym programie: pierwszy wykład Wojciecha Bąka o poezji, połączony z dyskusją, drugi dyskusję nad opowiadaniem Tadeusza Kraszewskiego i niżej podpisanego, odczytanymi przez autorów. Takich polemik, starć w dyskusji, opinii i ocen, więcej lub mniej związanych z tematem, dawno się nie słyszało w Poznaniu! Bąk mało sobie dtoni nie porzbił, dla tym mocniejszej argumentacji waląc nią w stół, wieczny jego znów antagonista, dr. Jerzy Koller, zazwyczaj niesłychanie spokojny, tym razem aż powstał z miejsca, by dobitniej zaakcentować swoją opinię, Amelia Łączyńska ostro rozprawiała się z „niemoralnością” usłyszanych opowiadań, Wilam Horzyca nawet tracił zwykłe stoickie swe opanowanie. Co tu zresztą wymieniać, wszyscy uczestnicy spotkań, podekscytowani niezwykle, wypowiadali sądy, sprzeczali się i godzili, zmieniali, zrywali i znów nawiązywali wspólne fronty dla obrony swego stanowiska — w sumie zaś wszystko w na der serdecznej, koleżeńskiej atmosferze. Biedne były tylko panie - literatki, pełniące rolę gospodyń, łapeczywość bowiem na kawę (prawdziwą, bez domieszki!) była nie mniejsza, niż zapal w dyskusji...

Jeśli chodzi o zewnętrzną działalność literacką w terenie należy z żalem za-

Eugeniusz Pauksza

Na literackim podwórku

List z Poznania

notować zmniejszenie aktywności „Czytelnika” w organizowaniu spotkań autorów z czytelnikami. Mało ich było ostatnio i niezbyt atrakcyjne. To bowiem, że Eugeniusz Morski, zaczyna czy kończy bodaj drugą już gdzieś setkę swych wystąpień w mieście i na prowincji wielkopolskiej, od dawna nie jest atrakcją specjalną dla słuchaczy, pragnących ujrzeć i usłyszeć pisarzy z bardziej prawdziwego zdarzenia. Pewne ożywienie wniósł ostatnio Wojciech Zukrowski, odbywający obecnie tournée czytelnikowskie po poznańskim. Miejmy jednak nadzieję, że i chwilowy okres ospałości „Czytelnika” wkrótce się skończy, zapowiadany bowiem jest na najbliższy okres przyjazd kilku pisarzy.

Z plotek i prawdziwość o literatach Poznania nie wiele ostatnio można powiedzieć. Są to na ogół bardzo dyskretni. Waclaw Kubacki wyjechał do Włoch, Roman Brandstaetter napisał nowy dramat i z powodzeniem boryka się nad przekładem „Hamleta”, Bąk przygotowuje do druku dalszą serię tomów swych wierszy, Illakowiczówna dobiega ostatnich stron tłumaczenia „Anny

Kareniny”, Fiedler zakopał się w swoim Puszczykówku pod Poznaniem, że ani go widać ni slychać, Jerzy Koller wyżywa się w dyskusjach, bijąc niemal wszystkich na głowę erudycją, Bronisława Steinowa przygotowuje swą córkę do przyszłego zbierania laurów literackich, Karczewska manifestacyjnie spóźnia się na wszystkie spotkania literackie, Rogalski pisze siedemnastą pracę na temat: „Faust Goethego a...” (vide numery pism literackich z ostatnich miesięcy).

W ogóle wśród literatów Poznania zdają się ostatnio cuda niesłychane. Tak naprzykład bez mała wszyscy zjawili się na uroczystości inauguracyjnej roku Słowackiego przed pomnikiem poety w parku przy Włach Zygmunta Augusta. Uroczystość, dobrze zorganizowana, poza paru okolicznościowymi przemówieniami przedstawicieli młodzieży i świata pracy, przyniosła ciekawą prelekcję prof. Bohdana Zakrzewskiego o rewolucjonizmie Słowackiego, zakończyła się zaś złożeniem kwiatów przed popiersiem wieszca. Jedna rzecz była nieco dziwna: zabrakło przemówienia

przedstawiciela Związku Literatów. A właśnie kto jak kto, ale ktoś z pisarzy powinien był przy tej okazji przemówić. Złożenie wiązanki kwiatów to mało. Nie wiem, czy wina leży tu po stronie organizatorów, czy też Zarządu Związku, że nie dopilnowano sprawy.

Rok Słowackiego przyniesie w Poznaniu, poza szeregiem prelekcji i naukowych i popularnych, wygłaszanych przez profesorów Uniwersytetu i literatów, także montaż sceniczny o Słowackim, akcję propagandową w kierunku jak najszerzego rozpowszechnienia jego pism itp.

Skoro mowa o poetach, nie można pominąć olbrzymiego powodzenia goszczącej obecnie w Poznaniu wystawy „Mickiewicz — Puszkina”, obrazującej życie, twórczość literacką oraz działalność polityczną i społeczną obu poetów. Warto tu podać znamienne cyfry osób, jakie zwiedziły wystawę przez okres dotychczasowych czterech tygodni jej trwania: 270.000!!! Jest się nad czym zastanowić i czym cieszyć.

Poznań, w kwietniu.

Eugeniusz Pauksza.

O estetykę przedmiotów codziennego użytku

Na konferencji prasowej Biura Nadzoru Estetyki Produkcji, istniejącego przy Ministerstwie Przemysłu Lekkiego zreferowano i w części pokazano dorobek BNEP. BNEP, początkowo pracujący przy Ministerstwie Kultury i Sztuki w 1949 r. wcielony do Min. Przemysłu i Handlu, na początku był przez organizatorów pojęty jako placówka nadzoru nad estetyką przedmiotów życia codziennego, estetyką wszelkiego typu wytwórczości począwszy od przemysłu ludowego, skończywszy na estetyce zbytu i przemysłu ciężkiego. Ponieważ w chwili podziału Ministerstwa Przemysłu i Handlu najbardziej palącą i wymagającą planowej kontroli sprawą była opieka nad produkcją przemysłu lekkiego w czerwcu 1949 r. BNEP został przydzielony do Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Problem rękodzieła i przemysłu ludowego przejęła Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, otrzymując od BNEP fachowców, materiał doświadczalny i wzory.

Poznanie i najbardziej powierzchowne nawet obejrzenie dorobku BNEP jest nie tylko czynnikami legitymującym wysiłek i poziom pracy Biura, ale także pozwala na wyciągnięcie jakichś ogólnych wniosków. Uderzająca wydaje się dysproporcja między poziomem wzorów i modeli pokazanych na konferencji i poziomem produktów tej samej jakości znajdujących się na rynku. Wyjaśnienie tego faktu, a mianowicie niechęć Centrali Handlowych do wszelkiego nowatorstwa, niechęć motywowana rzekomo trudnością w zwalczaniu zastanych gustów, jest wyjaśnieniem skutków a nie przyczyn. Wydaje się, że koniecznie trzeba jasno określić cel pracy nad podniesieniem estetycznej jakości przedmiotów codziennego użytku. Cel tej pracy może mieć dwa warianty. Pierwszym jest po prostu czynnik handlowy; podniesienie

wartości towaru przez podniesienie jego jakości. Drugim jest społeczna rola sztuki użytkowej. Samo ustanowienie BNEP, jako instytucji podległej Ministerstwu Przemysłu Lekkiego, wybija na pierwszy plan rolę komercyjną tej instytucji. Merytorycznie natomiast ważniejsza jest druga funkcja kontrolowania estetyki produkcji. Upodobania ludzkie są podstawowym faktem do jakiegokolwiek rozważań nad upowszechnieniem wartości estetycznych. Wychoząc z tej podstawy należy stwierdzić, że jest oportunistem stwarzanie podziału na sztukę użytkową i sztukę czystą i twierdzenie, że przez rozpowszechnianie tzw. czystej sztuki potrafimy oddziaływać na upodobania najszerzych mas. Podstawowe zadanie wykształcenia estetycznego ciąży w tej chwili na tej gałęzi sztuki, której zwykło się nadawać nazwę sztuki stosowanej. Dotąd dokąd pięknych modeli i wzorów BNEP nie będziemy widzieć w Domach Towarowych, na rynku, w mieszkaniach robotniczych — praca tej instytucji będzie niepełna i niecelowa.

Doświadczenia BNEP wykazały, że można przy jedynie dobrej woli produkować i rozprowadzać estetyczne wyroby włókiennicze, galanterijne, ceramiczne, że jedyną trudnością w tej dziedzinie jest przezwyciężenie oporów placówek handlowych, które z niezrozumiałych względów opóźniają usunięcie z rynku wszelkiego rodzaju tandety.

Na owej konferencji prasowej pokazane zostały wzory taniach, łatwych w produkcji talerzy i wszelkiego rodzaju wyrobów ceramicznych. Okazało się jednak, że talerze te nie mogą wyostać się poza wzorcownie BNEP, bowiem handel nie zamawia w przemysłe wzorów nowych i oryginalnych, wybierając raczej te, które bez względu na jakość znajdują się już na rynku. Okazuje się, że Centrale Handlowe

są jak najdalej od ambicji wychowywania rynku. Więcej, że przez przesadnie pesymistyczną ocenę zle-go gustu odbiorcy, wpływają na narzucenie rynkowi towaru nieestetycznego i jakoś wypaczającego gust odbiorcy.

W pracy nad upowszechnieniem kultury pierwszorzędym zadaniem jest podniesienie estetyki wszelkich form życia codziennego, wykształcenie upodobań przez rozpowszechnienie ładnych przedmiotów codziennego użytku. Przez jak najszybsze zlikwidowanie różnicy w sposobie ubierania się pracownika fizycznego i umysłowego, różnicy w urządzeniu mieszkania itp.

Praca BNEP nie może i nie powinna spotykać się z trudnościami. Wydaje się zupełnie niezrozumiałe, że placówka, która realizuje służny i tak bardzo ważny program, która wykazuje tyle inicjatywy, legitymuje się doskonałymi efektami pracy i wypracowanymi metodami, dysponuje doświadczonymi już kadrami ludzi nie zawsze i nie na wszystkich szczeblach spotyka się z właściwym zrozumieniem i poparciem.

Należy podkreślić, że BNEP w swojej pracy twórczej oparł się na współpracy plastyków z zespołami robotniczymi i chłopskimi, że w ten sposób włączył do twórczości artystycznej zupełnie nowe kadry opiekując ich pracą na zasadzie kolektywów artystycznych. To rozwiązanie pracy BNEP niemal bezpośrednio z odbiorcą ma poza rolę wyszukiwania i popierania talentu ludzi dotąd odsuniętych od twórczości artystycznej, znaczenie wprowadzenia świeżych nie przerafinowanych pomysłów, twórczości regionalnej. Dając gwarancje stwarzania sztuki narodowej, oryginalnej, chroni przed usztywnieniem i schematyzacją.

LESZCZ

KULTURALNY

Z krakowskiego teatru rapsodycznego

Teatr rapsodyczny po kilkumiesięcznej rozłące z tym widowiskiem powrócił znów do „Pana Tadeusza”. Ponieważ ta premiera nie była jeszcze w swoim czasie omawiana na tym miejscu, należy jej kilka słów poświęcić, zwłaszcza, że jest to obok „Eugeniusza Oniegina” najbardziej udane osiągnięcie Teatru Rapsodycznego.

Przed pięciu laty, na samym początku publicznej działalności tego teatru, jednym z pierwszych jego wystąpień była właśnie zbiorowa recytacja wybranych ustępów z „Pana Tadeusza”. Wówczas zespół posługiwał się wyłącznie słowem, ilustrując je tylko nader pościągawie gestem. Od tego czasu twórcy teatru przebiegli obrznięli drogę, ogarniając coraz to szersze dziedziny — po części nawet odkryte przez nich pierwsze — ale pozostając zawsze wiernymi swemu założeniu pierwotnemu, żeby pozostać przede wszystkim teatrem słowa, który rozgrywa w wyobraźni i przemawia do wyobraźni. Wszystko inne: stroje, gesty, mimika, zmiany i barwy oświetlenia, gra całego zespołu — ma służyć tylko do tego by uwydatnić plastykę słowa, wzmacnić jego muzykę. Nie ma to być

odtworzenie postaci i momentów, tylko ich zaznaczenie.

Przedstawienie to znane jest już dzisiaj w całej Polsce, nie widzę zatem powodu do omawiania go szczegółowo. Należy tylko stwierdzić, że w porównaniu z ową pierwszą, dawniejszą interpretacją, wybór ustępów dokonany został o wiele szczęśliwiej. Zapewne z umysłu wybrano przeważnie takie, które nie były recytowane wówczas, powiększając zresztą znacznie ich ilość tak, aby zamiast jednego, nieprzerwanego ciągu stworzyć pełne trzy akty z prologiem i epilogiem. Dobór epizodów jest doskonały. Z konieczności wprawdzie musiano pominać takie, które nie daly się umieścić w ramach danej koncepcji, ale całość zdołano powiązać tak umiejętnie, że te braki nie uderzają i znajduje się tam każdy ton niezbędny, choćby tylko jako echo. Dykcja kryształowo jasna, czysta, wolna prawie zupełnie od drażniących przyciszeń oddaje w nieskazitelnym proslowie muzykę słowa Mickiewiczowego. Ilustracja muzyczna dyskretna, nie narzucająca się, nie tamuje jej w niczym (chyba może trochę w prologu w opisach natury) a mowy polonezowe na

końcu nader udane. Najlepszym zaś probierzem wartości dzieła jest jednogodna i wciąż niezmienna reakcja całej widowni.

Teraz parę zarzutów. W prologu stanowiącym prześliczne, nadzwyczaj umiętne połączenie najpiękniejszych obrazów przyrody wybranych z całego poematu, wydaje mi się niepotrzebne umieszczenie fragmentu koncertu Wejskiego. Rzecz ta będąca już poniekąd urywkiem fabuły nie harmonizuje zdaniem moim z resztą i przerywa ciąg tych cudnych obrazów nie mających nic wspólnego z udziałem człowieka w przyrodzie.

Następnie (to zarzut główny), czemu Zosia w ostatnim akcie nie ma na sobie owej sukienki „zielonej jak ruta”, o której tyle jest mowy w poemacie, tylko ten sam gorsecik zielony przy białej spódnicy, w którym występowała od początku? Brak tej zmiany stroju razi ogromnie.

Wreszcie, zbytecznym mi się wydaje na końcu owo wręczenie książki przez poetkę dziewczynie wiejskiej. Jest to niezgodne z całym stylem Teatru Rapsodycznego, który sam o sobie mówi,

że jest teatrem „antynaturalistycznym” i każe przypuszczać u widza takie ubóstwo wyobraźni, z jakim w ogóle nie przychodzi się do tego teatru...

A na ostatku już nie zarzut, lecz przeciwnie, najwyższe uznanie za to tak

wysoce artystyczne uwydatnienie roli słowca, które we wszystkich swoich posłaniach od wschodu aż do zachodu staje się molywem przedmiotem wszystkich obrazów przyrody.

Alina Swiderska.

Wokół artykułów o Kołłątaju

WYJAŚNIENIE W SPRAWIE KOŁŁATAJA

W n-rze 16 „Dziś i Jutro”, w rubryce „Czytelnik uważa, że...” p. J. Semeńko opierając się na informacji zaczerpniętej z Encyklopedii Orgelbranda z r. 1900 daje wyraz swym wątpliwościom, czy słusznie uznałem w artykule o Kołłątaju („Dziś i Jutro”, nr 13). Dederkały na Wołyniu za miejsce urodzin tego pisarza, gdyż — Jego zdaniem — Kołłątaj urodził się w Nieciślawicach pod Stobnicą. W związku z tym wyjaśniam, że istotnie w publikacjach dotyczących Kołłątaja nie ma zgody i jedynomyślności w tej sprawie. Przyjmując jednakże Dederkały za miejsce urodzin reformatora opierałem się przede wszystkim na wiadomościach czerpanych z źródeł najbardziej w tej kwestii autorytatywnych, a mianowicie na jedynej dotąd poważnej i źródłowej monografii M. Janika: Hugo Kołłątaj, Lwów 1913, w której czytamy na str. 4: „Hugo Kołłątaj urodził się dnia 1 kwietnia 1750 w Dederkałach Wielkich nad Horyniem na Wołyniu i tutaj przeżył „poranek młodości”. W Nieciślawicach natomiast spędził Kołłątaj lata dzieciństwa (tamże str. 5). Na Dederkały i Wołyn jako miejsce urodzin Kołłątaja wskazują też G. Korbut w Literaturze Polskiej, Warszawa 1929, tom II, str. 177, St. Rymar we wstępie do Wyboru pism K. Kraków 1912, str. 3, Prof. Konrad Górski w Historii literatury polskiej (Wiedza o Polsce, W-wa, str. 90), oraz inni.

O tym, jakoby r o d z i c e Kołłątaja przeniesiły się b e z p o s ę d n i o ze Smoleńszczyzny na Wołyn, w art. moim n i e m a mowy, piszę tylko, że „pochodził K ze szlachty kresowej, osiadłej po przeniesieniu się ze Smoleńszczyzny na Wołyniu...”. Kiedy te przenosiny się odbyły, w to nie wnioskuję.

P. Semeńko pisze dalej, że nie słusznie uważam reformę Akademii za „start publiczny K.”, że w istocie start ten „nastąpił już w czasie poprzedniej jego pracy w Komisji Edukacyjnej”. Otóż właśnie piszę o tym bardzo wyraźnie, tylko przeoczył to p. Semeńko. „Kołłątaj — cytuję odp. ustęp z mego artykułu — wprawdzone przez brata królewskiego do Towarzystwa Książek Elementarnych nawiązuje bliższą znajomość, a niebawem w s p ó ł p r a c e z czołowymi jego działaczami, a zarazem inspiratorami i kierownikami Komisji, Ignacym Potockim i Grzegorzem Piramowiczem, a z a l e c i w s z y s i e im jako człowiek godny z a u f a n i a otrzymuje mandat skontrolowania stanu aktualnego jedynej w kraju wyższej uczelni...”. Ze słów tych wynika chyba jasno, że Kołłątaj brał udział w pracach Komisji, i że zdobył sobie uznanie współpracowników i przełożonych. Ze się o tym szeroko nie rozpisywałem, to rzecz zrozumiała, wszak artykuł jest i tak „sążnisty”.

P. Semeńko żałuje też, że pisząc o reformowaniu Akademii przez Kołłątaja nie wspomina „ani p ó ł s ł ó w k i e m (podkreśl. moje) o Kołłątaju jako tej Akademii reformatorze”. Otóż nie tylko p ó ł s ł ó w k i e m, lecz e x p r e s s i s v e r b i s to pokreślałem. „Trze-

ba... zdać sobie sprawę ze stanu ówczesnego uczelni krakowskiej, aby móc w pełni ocenić trud jej wizytatora, a niebawem r e k t o r a”. I dalej następuje krótki przegląd działalności reformatorskiej Kołłątaja w Krakowie.

Artur Hutnikiewicz

UWAGA NAD UWAGAMI O H. KOŁŁATAJU

Dzieląc się z czytelnikami pisma swymi uwagami (nr 16 „Dziś i Jutro”) o moim artykule o Kołłątaju (numer 13 „Dziś i Jutro”), p. S. Semeńko cytując zdanie, wyjęte z tego artykułu: „Kołłątaj nie mógł już wytrzymać konkurencji z Kościuszką” i stara się udowodnić na podstawie pracy dra A. Próchnika „Demokracja kościuszkowska”, że „harmonijna współpraca (Kościuszki) zwłaszcza z Kołłątajem wykluczała, przynajmniej za życia obu mężów stanu, jakąkolwiek między nimi konkurencję”.

Wiadomo z bardzo już bogatego doświadczenia, że niebezpieczne dla obiektywnego stanu rzeczy jest zaczepianie cudzych powiedzeń przy pomocy cytata, wyrwanych z całego kontekstu, toku rozumowania zahaczanej rzeczy. Nie leżało w planie ani intencjach moich rozważań o Kołłątaju, ustalanie merytorycznego wartościowania postaci Kołłątaja wobec postaci Kościuszki. Rzucana zestawienie ma charakter zgola akcydentalny. Taktyka odwrotna byłaby sprzeczna z celem artykułu, który miał wykreślić tylko generalne linie fizjognomii duchowej naszego reformatora. Mógłbym sobie pozwolić jedynie na ustalenie obok siebie obu tych postaci w perspektywie całości niejako dziejów dawnej Polski. Trudno było w tym wypadku wkraczać w szczegóły wzajemnego stosunku obu mężów na gruncie powstania, ponieważ jest to problem ogromnie złożony i subtelny, którego nie da się rozstrzygnąć nawet w sążnistym artykule w „Dziś i Jutro”.

Nawiąsem tylko dodam (nie chcąc wychodzić z ram faktycznych), że nawiązany przez p. J. Semeńko obraz wzajemnego stosunku Kołłątaja i Kościuszki nie jest tak jednoznaczny, jak to powiedziano i nie odpowiada rzeczywistości historycznej, bo ją bardzo upraszcza i schematyzuje. Dynamika wypadków 1794 r. i zachowanie się postaci kierowniczych tej epoki było o wiele więcej skomplikowane i różniczkowane.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Objazdowa wystawa przeciwweneryczna

W dniach 12.III—12.IV br. w salach Muzeum Przemysłu Artystycznego w Krakowie gościła objazdowa Wystawa Przeciwweneryczna, zorganizowana przez Ministerstwo Zdrowia i Polski Związek Przeciwweneryczny. Znaczenie wystawy wybiega poza zakres spraw lokalnych, toteż kryteria tej oceny muszą być odpowiednio zastrzeżone. Przyznam, że wybierając się tym razem do sal Muzeum Przemysłowego zachęcony pięknym i pomysłowym afiszem — odczuwałem pewien niepokój. Wystawy przeciwwenerycznej nie cieszą się najznakomitszą opinią. Wielu z nas widziało już zapewne podobne imprezy troskliwie podzielone na działy dla kobiet i mężczyzn i pokazujące najbardziej naturalistyczną makabrę, której wartość dydaktyczna była minimalna, a za to odraza jaką budziły — spora nie mówiąc już o często, zwłaszcza wśród młodzieży, wywoływanym dreszczyku niezdrowej ciekawości i podniecenia, a nawet — bo bywały i takie wypadki — o powodowanych wypadkach wenerofobii. Nie więc dziwnego, że w minowym nastroju siedłem na wystawę. Spotkało mnie duże i przyjemne rozczarowanie.

Znakomicie dobrany materiał informacyjny, dobrze postawiony i szeroko rozbudowany dział społeczny, wyczerpująca informacja o akcji „W” i jej mądra propaganda — wszystko to graficznie świetnie rozwiązane stanowi istny przełom w polskiej tradycji wystaw przeciwwenerycznych. Pozbawienie eksponatów drastyczności, rezygnacja, z przesadnego a najczęściej chybiającego celu naturalizmu w ekspozycji — oto zalety, które muszą „wziąć” zwiedzającego. Zrezygnowano z modeli plastycznych z istoty naturalistycznych, a posłużono się znacznie subtelniejszym językiem fotografii, wykresów, schematów i pomysłowych, bardzo dobrze zrobionych plansz plastycznych. Jasna i przejrzysta konstrukcja, zwięzłość językowego materiału informacyjnego czynią wystawę dla każdego czytelną i zrozumiałą. Graficznej stronie imprezy należy się specjalne omówienie, na które niestety nie ma tu miejsca. Przytoczę tylko szczegół godny całości. Otóż na wstępie do działu społecznego jest duża kilkunietrowa plansza z ekspresyjnie mocnym zestawieniem: głowa Wenus i profil niedorozwiniętego dziecka, obciążonego kilką wrodzoną. Przy realizacji wystawy pracowała prof. J. Hryniewicz, inż. C.

Wielhorski, red. E. Męclewski, lekarze: prof. dr M. Grzybowski, dr Suchanek, dr T. Stępniewski oraz artyści: J. Barbara, M. Hiszpańska, Z. Schabenbeck-Mokrzycka, J. Czerwiński i wielu innych.

Równie dobre jest rozwiązanie problemowe i informacyjne działu społecznego. Dowiadujemy się, że w Polsce 300.000 ludzi choruje na kiłę. Równa się to stracie 105 milionów roboczodni rocznie, co w przeliczeniu na efektywne wyniki pracy wynosi 693.200 izb mieszkalnych, czyli — jak informuje wystawa — jest to łączna ilość izb obecnej Warszawy, Łodzi i Krakowa. Przed wojną chorych wenerycznie mieliśmy ca 40.000 (stanowi to cała ludność miast takich jak Kalisz lub Piotrków), podczas gdy Francja miała ich 150.000, Niemcy 100.000, Włochy 60.000, Anglia 60.000, a mała Belgia 15.000. Na choroby weneryczne choruje na świecie 40 milionów ludzi, umiera rocznie 2 miliony, a więc śmiertelność powodowana nimi jest równa niemal gruźlicy 1/3 ślepych, 20 proc. poronień to skutki zaniedbanej kiły, 1/5 chorób umysłowych powodują choroby weneryczne. Wystawa mówi zwiedzającym, że wrogiem człowieka a sprzymierzeńcem choroby jest alkohol, przyjacielem — sport. Rozsądnikiem zarażeń są stosunki pozamałżeńskie (90 proc. zarażeń), ochroną uczciwe życie małżeńskie lub wstrzemięźliwość. Ostrzega przed brudem, fałszywym wstydem w ujawnianiu choroby i prostytutką — zaleca czystość fizyczną, częste kontrole lekarskie i uregulowane (w ramach małżeństwa) życie płciowe lub abstynencja. Wystawa stawia i naświetla problem jakim dla społeczeństwa są wiadome choroby. Operuje przekonująco zestawioną i skomentowaną statystyką. Podaje dokładne dane odnośnie „akcji W”, jej zasięgu, rozmachu, celowości i skuteczności. Wyniki jakimi akcja może się poszczycić, są poważne: 86.000 wyleczonych, 7.000 matek wyleczonych w okresie ciąży, 2.400 zwalczonych wypadków kiły wrodzonej. W samym tylko 1948 roku wydano na walkę z chorobami wenerycznymi miliard złotych.

Godne pochwały są z umiarem zrobione części szczegółowe wystawy poświęcone kile, rzeżączce i wrzodowi wenerycznemu (ten ostatni chociaż nader rzadki, mógłby być jednak potraktowany nieco szerzej). Pokazano tutaj na krótkich, przez zwiedzających uruchomionych filmach, wygląd bakterii wywołujących

zarażenie. Przedstawiono historię, właściwości a przede wszystkim skutki ewent. uleczonych chorób. Położono przy tym szczególny nacisk na kile jako na szczególnie niebezpiecznej chorobie o charakterze społecznym. Wystawa sporo miejsca poświęca przekonywaniu zwiedzających, że zarówno kiła nabyta jak i wrodzona może być uleczona, nie mówiąc już o rzeżączce, której usunięcie jest dzisiaj przy stosowaniu penicyliny, sprawą jednego zastrzyku, ale zaniedbanie może spowodować bezpłodność (50 proc. nieplodnych kobiet — to jej skutki), a często kalectwo (sztywność stawów).

Całość wywiera mocne wrażenie, jej wpływ dydaktyczny jest, wydaje mi się, nader trafny, budzi bowiem w zwiedzającym wiarę w możliwość szybkiego i skutecznego leczenia chorób wenerycznych, a w popularyzowaniu profilaktyki społecznej konsekwentnie głosi konieczność umiarkowania i niebezpieczeństw pozamałżeńskich i w ogóle „dzikich” stosunków seksualnych. Ta nawołująca do uczciwego rodzinnego życia sugestia wystawy musi być przyjęta z aplauzem i stanowi jedną z jej głównych zalet.

Ważnym z natury rzeczy uzupełnieniem całości jest średniometrażowy film pt. „Historia jednej znajomości”, o którym niestety nie możemy wydać przychylniej opinii. Technicznie słaby, chwilami niezbyt zrozumiały, grzeszący najwymownym ujęciem niekiedy niepotrzebnie naturalistycznym i oparty na fałszywym, wręcz szkodliwym moralnie założeniu, doprawdy nie jest odpowiednim uzupełnieniem doskonałości koncepcyjnej i artystycznej pokazanej we „właściwych” salach wystawy. Szkoda również, że w Krakowie podobno z braku miejsca, nie wystawiono jako zakończenie rzeźby J. Bandury „Zwycięska ludzkość”. Sadząc po rzeźbie otwierającej wystawę „Ludzkość cierpiąca” ciekawiej, nader śmiało tej kompozycji — krakowianie istotnie wiele stracili. Najpoważniejszym brakiem wystawy jest niemal pominięcie pierwszych objawów schorzeń, czyli sprawy, która praktycznie najbardziej zwiedzającego interesuje. Gdyby tak jeszcze podano do wiadomości zwiedzającym gdzie w ich miastach są owe bezpłatnie leczące poradnie przeciwweneryczne, to pióro sprawozdawcy mogłoby poprzestać tylko na superlatywach. W sumie jest to godna obejrzenia, ciekawa i oryginalna impreza.

J. P. Gawlik

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYSZKOWSKI 2 WARSZAWA



PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY

BILANS KUOMINTANGU

(dokończenie ze str. 2)

Rząd Kuomintangu przystąpił do zorganizowania życia finansowego i bankowego kraju. Bez banków nie było kapitałów, nie istniały kredyty, ani rozwój ekonomiczny. Poza tym bankierzy wspomagali partię, należało im się za to odwdziżyć. Stanowili oni przecież łącznie z feudalnymi panami i dygnitarzami wojskowymi filary społecznego reżimu.

W dawnych Chinach obieg pieniężny był bardzo znikomy. Jednostki uprzywilejowane, które dysponowały nadmiarem gotówki stały się ulokować ją w wartościach stałych czyli w ziemi. Chiny tak jak Europa wieków średnich cierpiały na brak monety obiegowej. Wobec braku poważniejszych obrotów handlowych nie było to jednak tragiczne. Z chwilą zapoczątkowania rozwoju gospodarki nowoczesnej dał się jednak natychmiast odczuwać brak kapitału.

Banki istniały oczywiście od bardzo dawna. Były to małe lokalne przedsiębiorstwa, które udzielały pożyczek kupcom najczęściej na podstawie pokrewieństwa łączące go pożyczającego z właścicielem banku.

Pod koniec wieku XIX i z początkiem XX zaczęły pojawiać się banki zakładane przez cudzoziemców. Wiele z nich emitowało pieniądze. Do roku 1927 w ich rękach skoncentrowane były wszystkie większe operacje finansowe.

Istniały również instytucje o charakterze administracyjnym. Bank Chiński utworzony przez rząd cesarski i szereg drobnych przedsiębiorstw otwartych przez zarządy prowincjonalne. Kuomintang stworzył w Kantonie Central-

ny Bank Chiński przeznaczony do finansowania jego działalności. Pierwszym dyrektorem tego banku był T. V. Soong. W roku 1927 Centralny Bank Chiński przekształcony został w bank emisyjny podczas gdy Bank Chiński stał na czele banków przeprowadzających operacje zewnętrzne. Następnie powstał Bank Komunikacji i Bank Rolników Chińskich. Wszystkie te cztery instytucje bankowe emitowały pieniądze, ich działalność bardzo często zależała się. Wkłady bankowe wynosiły w 1928 r. 553 miliony dolarów chińskich a w roku 1936 2.472 miliony.

Z chwilą jakiegoś takiego zorganizowania sieci bankowej rząd przystąpił do wycofania „tael” jednostki monety złotej która dotychczas służyła jako podstawa wszystkich transakcji. W listopadzie 1935 r. rząd zakończył swoją reformę monetarną wycofując pieniądze z obiegu, olbrzymie zakupy amerykańskiego Ministerstwa Skarbu wypompały z rynku chińskiego cenny kruszec tworząc niebezpieczny brak środków płatniczych. Różne rodzaje pieniądza papierowego emitowane przez banki zagraniczne i chińskie zostały również wycofane z obiegu i zastąpione jednym pieniądzem „Chinese National Currency” której jednostką był dolar (C.N.S.).

Te reformy chińskiego rynku finansowego były niekompletne. Tak jak we wszystkich rodzajach działalności Kuomintangu reformie podlegała głowa a nie całe ciało. Plan reorganizacyjny brał pod uwagę tylko rząd i wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne pomi-

jął zaś lud. Chiny odczuwały największą potrzebę sieci małych banków rolnych, które udzielałyby rolnikowi nie tylko krótkoterminowych kredytów, które najczęściej obracane były na natchmiastowe lecz nieproduktywne potrzeby takie jak ślub, pogrzeb itd. ale również i kredytów długoterminowych w celu podniesienia poziomu produkcji, jak zakupu narzędzi rolniczych, ulepszenia ziemi. Tymczasem banki lokalne pozostające zawsze w rękach panów feudalnych lub lichwiarzy nie przynosiły żadnej pomocy chłopu. Narodowe banki chłopskie, powinny być stworzone koniecznie.

Już na samym początku wojny ceny zaczęły iść w górę. Do roku 1942 zwykła ta była powolna i niebezpieczna.

W marcu 1946, przyjmując wskaźnik 100 na rok 1935, koszt życia wynosił 270.052. W ostatnich miesiącach 1947 roku i pierwszych miesiącach 1948 spadek wartości pieniądza był zupełnie przerażający w porównaniu z wartością marki w 1923 r.

Dnia 3 lipca 1948 podpisano „umowę o współpracy gospodarczej pomiędzy Chinami a Stanami Zjednoczonymi” a 19 sierpnia ogłoszono wycofanie z obiegu CNS i zastąpienie go nowym pieniądzem złotym yuan (G.Y. „gold yuan”), którego wartość równa była jednej czwartej dolara amerykańskiego. Ale rząd nie umiał utrzymać się w swojej roli, spekulacja podniosła ponownie głowę, i nowy pieniądz począł z kolei spadać. Stopa procentowa, wskaźnik zaufania do pieniądza, osiągnęła w początkach 1949 r. wysokość 5 do 7 procent dziennie.

Wreszcie w dziedzinie kultury rząd zainteresowany wyłącznie potrzebami elity, która mogła go ewentualnie popierać, cały swój wysiłek skierował w kierunku uniwersytetów, wielkich szkół, liczba zaś szkół powszechnych była wciąż niewystarczająca. Nie uczyniono nic dla rozwoju kolektywnego nauczania powszechnego. Do świadczenia przeprowadzone przez komunistów i makizardów wietnamskich wykazały tymczasem, że zwalczanie analfabetyzmu i to przy zastosowaniu zupełnie prostych metod jest całkowicie możliwe. W dzielnicach wyzwolonych przez komunistów mury zalepione są plakatami przedstawiającymi jakiś przedmiot, pod rysunkiem znajduje się znak, który oznacza jego nazwę. Nie potrzeba ani szkoły, ani czarnej tablicy, ani nauczyciela. Rysunek i znak rzucają się wszystkim w oczy. Z szybkością trzech znaków na tydzień wszyscy chłopcy uczą się czytać. Niczego podobnego nie próbowano wprowadzić w Chinach kuomintangowskich. Chen Li-fu, który był jednocześnie ministrem oświaty i ministrem Organizacji Kuomintangu a więc tym, który narzucał kierunek umysłowy, nie widział w studentach żadnych wiedzy umysłów, które mogłyby stworzyć kadry społeczeństwa nowoczesnego. Czap z swej strony nie cierpiał studentów, których krytyczna i niekonformistyczna umysłowość wydawała mu się niesłychanie niebezpieczna.

Do największych zbrodni Kuomintangu należało prześladowanie studentów i profesorów (nie mówiąc o wszelkiego rodzaju intelektualistach). Przedstawiciele wolnej myśli, przyzwyczajeni do tradycyjnego w Chinach szacunku dla człowieka nauki bardzo surowo krytykowali postępowanie Kuomintangu godzące w dobro narodu.

Studenci chińscy, bardziej dojrzały od swoich zachodnich braci, gardzący próżnymi dysputami i nieopanowanym indywidualizmem w którym wyżywa się nasza młodzież, mieli świadomość, iż stanowili kadry przyszłych intelektualistów narodu, toteż oni właśnie byli najbardziej konkretnymi wyrazicielami interesów powszechnych. Oni to w roku 1919 rozpoczęli masowy ruch głoszący opór wobec żądań japońskich, oni również w okresie od 1931 do 1937 roku żądali bezustannie zaprzestania polityki ustępstw wobec Japonii i zastosowania polityki zwarnej, silnej w stosunku do tej ostatniej, oni dalej podczas wojny zgłaszały się do armii jako ochotnicy by stać się „elementem podnoszącym ducha”, oni żądali zaprzestania prześladowań skierowanych przeciwko komunistom, oni począwszy od roku 1945 organizowali jedną manifestację za drugą i organizowali ciągle strajki żądając ewakuacji Amerykanów z Chin a przede wszystkim zaprzestania wojny cywilnej.

Wszystkie te manifestacje spotykały się ze strony rządu, a szczególnie ze strony Chen Li-fu, odpowiedzialnego za duchowe wychowanie młodzieży, i Czap Kaiszeka z niesłychaną brutalnością; więzienia, internowanie w obozach i masowe egzekucje stały się chlebem powszednim. Dziesiątki studentów zostało rozstrzelanych, setki rannych, tysiące uwięzionych lub internowanych.

Profesorowie okazali się również obdarzeni duchem walki, toteż i straty pośród nich były bardzo poważne. Profesor ekonomii Ma Yin-chu, którego dzieła służyły za podstawę wykładów we wszystkich uniwersytetach „zniknął” w kilka dni po wygłoszeniu mowy, w której wzywał generała Czap Kaiszeka do nierozdzie-

lania wyższych stanowisk administracyjnych wyłącznie pomiędzy swych najbliższych. Profesor Keh Fung, z uniwersytetu w Chekiang został zamordowany w drodze przez Yangtse, dr Fei Hsiao-tung padł ofiarą zamachu w czasie wygłaszania w Kunming odczytu nawołującego do zaprzestania przygotowań do wojny domowej. Prof. Wen Yi-to, którego komentarze do klasyków cieszyły się powszechnym uznaniem, którego intelektualny wpływ był olbrzymi odmówił wywierania presji na studentów w kierunku narzucanym mu przez rząd. „Nic nie mogłoby mi zrobić większej przyjemności jak widok jego głowy na ostrzu dzidy” mawiał zarządca Yunnan w początkach 1946 roku. W lipcu profesor został stracony. Profesor Li Kung-po, który został aresztowany w 1937 roku za propagowanie idei oporu wobec Japończyków został 10 lat później stracony za nawoływanie do zaprzestania prześladowań komunistów. Doktorowie Lo Yung-chi i Czap Lang torturowani byli z podobnych powodów. Wymieniłem tu tylko same znakomitości. To były zbrodnie których nie można wybaczyć!

Działalność Kuomintangu nie miała na celu zadowolenia ludu czyli większości kraju lecz zadowolenie pewnej warstwy społecznej złożonej z możnych, wielkich właścicieli ziemskich, wojskowych, kupców, przemysłowców i bankierów stanowiących mniejszość. Sąd o działalności Kuomintangu musi wypaść bardzo niekorzystnie. Był to okres triumfu niedołęstwa, korupcji, dezorganizacji i nieograniczonych prześladowań. Postępowanie rządu okazało się w sumie prawie zawsze przeciwne interesom mas chińskich, które poświęcane były stale interesom niewielkiej mniejszości.

Przez okres ostatnich 10 lat można było obserwować stopniowe słabnięcie Kuomintangu i wrażliwość sił Kungczantang (Komunistyczna Partia Chińska). Upadek pierwszego a zwycięstwo drugiego było rzeczą nieuniknioną. Rok 1949 stał się dla Chin rokiem przełomu.

tłum. W. Ursteinowa



Na półkach księgarskich

Opowieść o Chopinie

Jedną z pierwszych pozycji „Żywotów znakomitych Polaków” którą to serię wydaje Państwowy Instytut Wydawniczy pod redakcją A. Wata, jest „Chopin” Jarosława Iwaszkiewicza* (ta sama, lub też bardzo podobna książeczka o identycznym tytule wydana była na kilka lat przed wojną). Mimo szczupłego rozmiaru pracy, co wiąże się z jej adresem społecznym, mimo wynikającej stąd konieczności popularnego ujęcia autor dał wcale nie banalny rys życia i twórczości wielkiego muzyka, zsyntetyzował sądy o nim i ukazał jego sylwetkę na ogólnym tle historii kultury polskiej.

Przed wszystkim jednak książka Iwaszkiewicza zbliża do nas Chopina jako człowieka. Nie jest tu jednak rzeczą najważniejszą, że w siedmiu (na dziesięć) rozdziałach swej pracy zajmuje się autor głównie jego życiorysem, że dla

bezpośredniejszego z żywym Chopinem kontaktu cytuje często jego własne słowa poprzez przytoczenie wyjątków, bądź też całych jego listów, które nosząc cechy nieprzeciętnego talentu literackiego staną się jednym z silniejszych ogniw łączących czytelnika z ich autorem. Dużą, choć także niezasadniczą rolę gra i to, że Iwaszkiewicz kładzie duży nacisk na życie codzienne Chopina (które przecież tylko pozornie było odległe od poważnej trudności kompozytorskiej).

Myślę jednak, że największe w owym zbliżeniu znaczenie ma sposób napisania książki. Opowiada ona o życiu Chopina prosto, chwilami nawet gawędziarsko, umie żartować; w momentach jednakże tragicznych umie przemówić w sposób podniosły.

Warto na koniec podnieść ładną szatę zewnętrzną książek z serii „Żywotów”; drzeworyt Z. Fijałkowskiej umieszczony na okładce omawianej książki, ma, oprócz artystycznego, także i tą dużą wartość, że harmonizuje z treścią książeczki.

J. O. P.